Nr 38 Warszawa, dnia 7 (19) Września 1896 r. Rok XVI.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8, z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2 kop. 60, rocznie rs. 10.

Adres: Nowogrodzka Nr. 39.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

Szanownym Abonentom kwartalnym przypominamy nadchodzący termin przedpłaty.

POLITYKA.

KONGRES POKOJU.

Dnia 23 b. m. zbiera się w Peszcie konferencya sejmów europejskich dla pogadania o warunkach, jakieby w czasach zbrojnego pokoju znaleźć mógł dla siebie pokój bezbronny, rzetelny, samą rzelnością swoją silny — pokój wymarzony przez Kanta, przez filozofów i przyjaciół człowieka i ludzkości od tylu wieków przywoływany na ziemię. Pierwsza taka narada odbyła się w Rzymie w r. 1891. Jak wówczas, tak i obecnie uczestnicy jej występują tylko każdy za siebie, bez żadnego urzędowego lub prywatnego pełnomocnictwa od sejmów, do których należą. Cokolwiek powiedzą lub uradzą, pozostanie w aktach współczesnej myśli ludzkiej, unoszącej się nad błotami rzeczywistości, może wpłynąć na urobienie opinii, na wyhodowanie rozumnych i ludzkich poglądów w przyszłości; ale znaczenia w polityce bieżącej, — a innej niema — nie nabędzie, choćby nawet z najgłębszej mądrości wyszło i ogniem najżarliwszego apostolstwa gorzało.

Żaden też z poważnych uczestników przyszłej konferencyi nie przywiezie ze sobą do stolicy Węgier latarek chińskich, któremiby chciał zabawiać się w złudzenie, że tem, co powie lub usłyszy, zmieni cokolwiek w biegu spraw świata. Drwiny zatem, lżejsze lub cięższe, w dziennikach pełzających po padole polityki realnej, odwracać się mogą tylko przeciw tym, którzy niemi wzgardliwie pomiatanych ideologów strzelają. To naigrawanie się ze szlachetnych popędów, z nieukojonych tęsknot dnia dzisiejszego, z marzeń choćby o najdalszem jutrze — jest znamieniem, jest piętnem doby *fin de siècle*. Nieczułość na wszelkie szlachetniejsze porywy, które same jedne tylko wynosić mogą współistnienie człowiecze nad poziom zwierzęcości; przytępienie serca i rozumu społecznego; zaparcie się ideałów dla interesów, chęć urządzenia ludzkości jak jednej wielkiej giełdy — te są czynniki mądrości publicystycznej, naśmiewającej się z marzycielstwa.

Niech się śmieją i drwią! Zejście się i choćby tylko porozmawianie o potrzebach życia i zadaniach rozumnej woli polityczno-społecznej, po za obrębem pozytywnej działalności prawodawczej i nadzorczej, wykonywanej przez sejmy, — nie będzie straconem ani dla jutra, ani dla dnia dzisiejszego. Nie polityka bieżąca, w dyplomacyę i w armie zbrojna, jest największą rzeczywistością świata, najpotężniejszą jego siłą: stoi wergiliuszowe *Mens agitat molem*. Wszystko, co jest naokoło człowieka, musiało być pierwej w człowieku samym: najbardziej rzeczywistą, najgłębszą siłą świata nie są te machiny, mechanizmy i organizacye, które banalnie uważamy za jedyną rzeczywistość: jest nią sofoklesowy człowiek — jego umysłowość, jego myśl i żądza twórcza, jego potrzeba istotna lub ułudna, pewien zły lub dobry sposób odczuwania, rozumienia i pożądania — ostatecznie ów wypędzany stoma biczami krytyki — ideał. Każdy wiek go ma, każdy rozpala i gasi.

Takie będą sejmy, jakie będą umysły sejmujących, a wskutek właściwego człowiekowi mechanizmu wrażliwości, do wychowania ich dzielniej żywe słowo, niż książka przyczynić się może. Prowadzone porządnie, przez ludzi zdolnych, głęboko, więcej myśleć niż mówić lubiących, i zapatrzonych szczerze w marzenie, w mgłę złocistą lepszego, godniejszego bytu, — obrady takie, choć niby czysto akademickie, mogą zastąpić w przyzwoitej już mierze tę szkołę, jakiej nie daje ani ławka szkolna, ani katedra uniwersytecka. Znaczenie takich konferencyj wzrasta jeszcze przez poprzedzające ją kongresy, dostępne już dla wszystkich, byle dostatecznie wykształconych i znanych, aby im dano przemówić i chciano ich słuchać. Bywało poprzednio, będzie i teraz dużo papierowych latawców, wiórów, nawet śmieci, tak na jednem, jak na drugiem zgromadzeniu; ale trzebaby zwątpić o naturze ludzkiej, aby zgóry przewidywać przewagę głupstwa, ograniczenia i czołgającej się na brzuchu pospolitości. Nie, i tegoroczna pogawędka nie będzie bez pożytku dla politycznej umysłowości Europy. Marsa ze świata ci miłośnicy pokoju nie wypłoszą; ale trochę obłaskawią zwierzę huczące w człowieku. Trochę — to już wiele.

Tydzień polityczny. Pod Antwerpią, w Berchemie, odkryła policya angielska całe laboratoryum różnych piorunianów i znalazła w niem 30 bomb zupełnie gotowych do użycia. Nie znalazła ludzi na miejscu, ale uwięziła jednocześnie dwóch podejrzanych w Boulogne-sur-mer i dwóch w Rotterdamie. Schwytani we Francyi, Tynnan i Bell, dla rządu angielskiego są ciężkimi przestępcami politycznymi; pierwszy w r. 1882, na początku maja, uczestniczył w zamachu na Burke'a i Cavendisha w Phoenix-Parku dublińskim. Uwięziony w Holandyi Wallace w roku 1883 wysadził w powietrze fabrykę gazu w Glasgowie. Policya poszukuje jeszcze dwóch oddawna ściganych, a podejrzanych o wspólnictwo w prowadzeniu owego laboratoryum antwerpskiego. Depesza z Paryża zapewnia, że bomby przeznaczone były dla Anglików. Proces przekona o prawdzie, odsłoni może związek z politykami irlandzkimi, działającymi jawnie pod sterem Healy'ego i Redmonda, w opozycyi i przeciwko Anglii i przeciwko stronnictwu umiarkowanemu w Irlandyi, któremu przewodzi Davitt. Stronnictwo to odbyło w pierwszych dniach września w Dublinie wiec walny, niby narodowy, ale właściwie tylko swój własny, i umiało na nim tak dobrze radzić, że gdyby nie policya, jedni drugich na śmierćby pozatłukiwali.

Cesarz Franciszek Józef z manewrów, zakończonych przeszłego tygodnia pod Gródkiem, udał się po wypoczynku niedzielnym pod Przemyśl, i tam przez całe dwa dni i część trzeciego przypatrywał się strategicznym ruchom wojsk, jakby w prawdziwej wojnie; kwatermistrzowstwo, intendentura, służba lekarska, kolej, kuchnia, piekarnia—wszystko było zaopatrzone i działało tak, jakby w ogniu nieprzyjacielskim. Sumienne sprawozdanie, jeśli wyjdzie, dla wojskowców europejskich nauczającem będzie. Cesarz d 16 b. m. wieczorem przejeżdżał z powrotem do Wiednia przez Kraków. Przyrzekł to miasto odwiedzić.

Namiestnik Sanguszko ma ustąpić; miejsce jego dziennikarze parę tygodni temu już oddawali marszałkowi sejmu, Stanisławowi Badeniemu: trochę za wiele Badenich. W Wiedniu wypierają się przesilenia.

W Salzburgu od 31-go sierpnia do 4-go września obradował wiec katolików austryackich. Rzecz prosta, że zażądał przywrócenia władzy świeckiej a szkoły duchownej; i rzecz również prosta, że ani jednej, ani drugiej katolicyzm austryacki się nie doczeka. Uderza przecież zapewnienie prezesa zjazdu o współczuciu rządu, błogosławieństwo dane wiecowi przez ministra rolnictwa Ledebura i dobre życzenie ministra oświaty, Gautscha. Dym bez płomienia; ale kogo w nim chcą ministrowie udusić?

Na Szląsku austryackim odbyły się wybory do sejmu. Na wsiach zwyciężyli Polacy z Czechami, mieli trochę powodzenia w miastach; zresztą niemiectwo utrzymało się na stanowiskach.

Odbyły na początku września (d. 1 i 2 b m.) w Indianopolisie konwent narodowy demokratów, stronników złota, obrał na prezydenta, *in petto*, Palmera, na vice-prezydenta Sewella. Demokraci od srebra dawniej już radzili w Louisville i obrali sobie Bryana na przyszłego prezydenta.

W Stambule wszystko dobrze — tylko w poniedziałek przyszły ma być nowy rozruch. Zapowiada go już sama Porta ambasadorom, ofiarując im straż z wojska. Już i dyplomacya nie wątpi, że d. 26—28 z. m. policya rozdawała ludowi pałki do zabijania Armeńczyków. W dzielnicy Ejub, gdzie nie było takiej propagandy, nie było też i mordów. Dzienniki angielskie domagają się złożenia sułtana z tronu—rychło w czas! P. Salisbury może jednak myśli o czemś podobnem, i dlatego Porta uzbraja Dardanelle. Okręty angielskie niedaleko. Projekt wprowadzenia wielkich okrętów na Bosfor — śpi; Niemcy nawet posłały, jakby umyślnie, jakiś statek podziurawiony na miejsce trzymanego dotychczas stacyjnego, który był jeszcze zdatny do skromnego choćby użytku.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

DZIECI LUDU.

Kiedy wystąpiliśmy niedawno przeciwko zakładaniu przytułków dla chorych i zniedołężniałych zwierząt, wobec potrzeb nierównie pilniejszych, *Kuryer Codzienny* nazwał nasz pogląd niegodnym pisma poważnego. Otóż może organ taki poważny jak powyższy wraz z innymi, lubiącymi „robić kwestye,“ raczy zwrócić uwagę na chorobę społeczną — niedolę dziatwy włościańskiej, upośledzonej fizycznie lub mało produkcyjnej i spróbuje wynaleźć sposób zaradzenia złemu. Niedola ta jest tak powszednia i tak szeroko w całym kraju rozpostarta, że nie trzeba być bardzo pilnym i uważnym spostrzegaczem, ażeby ją zauważyć niemal w każdej wiosce. Dla przykładu i zobrazowania tej klęski straszną zaznaczymy dwa wielce wymowne i najświeższe fakty z jednej tylko miejscowości nad Świdrem: Jarosławia, złożonej z kilku chałup zamieszkanych przez ludzi spokrewnionych.

W jednej rodzinie jest dziewczyna szesnastoletnia, na w pół idyotka, nad którą rodzice i bracia znęcają się, biją drewnem po głowie i rękach przy lada sposobności dlatego, że nie posiada odpowiedniej sumy sił, niezbędnej do pracy owocnej przy gospodarce domowej. Dziewczyna zbita, zsiniaczona drży, przechodząc koło „swoich,“ truchleje pod każdem ich spojrzeniem i przy takich katuszach wprzęgła się do niewolniczej pracy domowej, spełnia najgrubsze czynności, bo ją obarcza nad siły każdy członek rodziny tem wszystkiem, co dla niego jest ciężkie lub nieznośne.

W chałupie sąsiedniej był chłopak czteroletni, przez naturę strasznie upośledzony, bo ślepy i niemowa. W domu na gruncie ekonomicznym wyrosła dla niego nienawiść i pogarda. Patrzano nań jako na pewną formę haraczu, tj. istotę nietylko nieprodukcyjną, ale pochłaniającą część środków utrzymania, którymi podzieliliby się zdrowi i silni. Nieszczęśliwe dziecko w ciągu krótkiego swego życia przebyło niezmierzone piekło cierpień. Usiłowano je oddać jakiej instytucyi miłosiernej, lecz gdy żadna nie przyjęła, chłopiec-kaleka zajął miejsce pośledniejsze, niż najlichsze zwierzę domowe. Bito go, potrącano nogami, dawano okruchy i ochłapy, aż wreszcie gdy ciężko zachorował. wypchnięto do sieni, przez osiem dni nie dano mu żadnego posiłku, ani kropli wody, po śmierci zaś włożono do worka i jako rzecz niepotrzebną, zawadzającą, tymczasowo przed pogrzebem wyrzucono na podwórze.

Ludzi tych nikt nie potępił, nie wyrzekł się ich, nie uznał za zbrodniarzy. Sąsiedzi o fakcie opowiadają spokojnie, kiwając głowami: „wiadomo, nieszczęście, zgryzota — taki ciężar w domu. Dobrze, że się raz go pozbyło...“ I czy istotnie tych ludzi można potępić bezwzględnie? Byłby to sąd nadzwyczaj powierzchowny — bez okoliczności łagodzących.

Czem jest ciemna dusza chłopska, z jakich ona pierwiastków i tkanek psychicznych złożona — usiłowali niejednokrotnie odgadnąć nasi powieściopisarze lub socyologowie. Pierwsi brali zwykle za model duszę człowieka oświeconego, usiłowali odtworzyć trochę jej cech wysubtelnionych i odcisnąwszy z niej formę na prędce, odlewali, że tak powiem, zrealizowaną duchowość kmiecą. Był to odlew połyskujący, wytoczony, jak wyrób fabryczny, w którym czytelnik miał się dopatrzyć prawdziwej duszy chłopskiej. Socyolog

1)

BROLIS.

Z NOTATEK STAREGO KAWALERA.

Nareszcie Anzelm wrócił ze wsi, trochę niby raźniej wygląda, ale zrzędzi nie mniej.

Wszedł jak zwykle powoli, usiadł i nie powitawszy nas, zaczął:

— Wyobraźcie sobie: Mahomet, gdy go w starości zdradziła jedna z dwudziestu pięciu żon, nakazał kobietom zakrywać oblicze; więc zakrywają przez całe wieki i będą to czynić, nim jakiś śmiały nowator nie zedrze im gwałtem osłon. Takich spuścizn mahometańskich odkryłem cały szereg i wszystko to nazywa się tradycyą, obyczajami. Szczególnie kobiety lubią trzymać się formuł, nie zgłębiając ich treści.

— Cóż w tem złego — zauważył Ignacy. — Jeśli będzie tyle kierunków, ile jednostek, ludzkość się rozproszy. Skoro w labiryncie postawiono drogowskazy, nikt nie błądzi; wymagać zaś, ażeby każda jednostka uświadomiła sobie ścieżki labiryntu — rzecz zbyteczna.

Anzelm szyderczo zaśmiał się i rzekł:

— Na to są płoty, ażeby ich ślepi trzymali się, a jeżeli płot od starości upadnie, co ślepy wówczas pocznie?.. Wyobraźcie sobie, byłem na weselu... Jak to śmiesznie — na weselu!.. Raczej na źródło smutku, ale tak nazwano, więc tradycyjnie powtarzamy nazwę. Opowiem wam całą historyę i poproszę o rozwiązanie pewnego węzła. Była sobie panna Salomea, która w swoim czasie wyszła za mąż — za pana Zenona. Było to małżeństwo wzorowe, przynajmniej zazdroszczono im wzajemnej adoracyi. W przeszłym roku pan Zenon umarł, pani Salomea opłakała go należycie, postawiła mu wspaniały nagrobek, sama zaś metodycznie i z rozwagą, gdy się ukończył przepisany rok z tygodniami, wyszła za mąż powtórnie. Pytanie: czy kochała któregoś z tych dwu nieboszczyków, czy żadnego?..

— Jakto, dwu nieboszczyków? — zawołałem. — Czyż i ten drugi umarł?

— Moralnie — umarł, bo zamiast miłości, źródła życia, znalazł gospodynię i nic więcej.

Ignacy rozgniewał się nie na żarty.

— Pojechałbyś — rzekł — do Indyj, gdzie na grobie męża i pana zabijają żony. Cała twoja historya wcale nie dowcipna! Kto umarł, ten skończył swoje rachunki, kto żyje — niech łączy się z żywymi. Do kąta romantyzm!

— Dosyć, rozumiem — zauważył Anzelm. — To znaczy, że łączność dusz, harmonia przekonania, wszystko są to banialuki! O tem właśnie chciałem dowiedzieć się. Dowidzenia.

Jak wszedł, tak wyszedł. Ignacy długo nie mógł uspokoić się, rzucał się po pokoju, sarkał, przekonywał mnie, że nie powinienem słuchać Anzelma, że wywiera na mnie zgubny wpływ, wreszcie odszedł.

Juści Anzelm zawsze przesadza, a jednak przykro jest pomyśleć, że ta sama pani Lucya, co niby tak serdecznie ze mną rozmawia, niby ma tak zgodne z moimi poglądy, za rok i sześć tygodni najspokojniej sobie rozważy: dosyć mam tego, poszukajmy, co inny powie. Nie, wobec takiego jutra nie warto dziś wiązać sobie życia. Jeżeli nie Piotr, to Paweł, jeżeli nie Paweł, to Gaweł — ten lub ów będzie mężem. Nie, panno Lucyo, ja nim nie będę! Jakto głupio stało się! Anzelm przez całe dwa miesiące gdzieś tam siedział w norze, a Ignacy wciąż mnie przekonywał o szczęściu w małżeństwie i trochę, zdaje się, za często zaglądałem do panny. Za często! Więc dlatego mam jak baran dać sobie ostrzydz runo? Tego zanadto! Chodziłem, a teraz przestanę.

* *

Ot i nie dotrzymałem słowa. Trzy dni nudów zrobiło swoje, poszedłem. Tak jakoś to wszystko głupio, ale cóż z sobą poradzić? W ogródkach wciąż stare dowcipy i stare piosenki, w teatrze — martwota, muzyka bez życia, szablonowa. Wszystko to męczy — poszedłem. Spotkała mnie, zdaje się, nawet zarumieniła się. Czyżby w samej rzeczy Ignacy miał słuszność?

jej obrazowi, również z pamięci naszkicowanemu, daje przynajmniej podkład — cienie nasztrychowane ze splotów życia rzeczywistego, więc bardziej się zbliża do prawdy, zachowujo jej pozory. Rzadko kto jednak zadaje sobie trudu, ażeby wydostać tę duszę nienaruszoną całkowicie, jaką ona jest: poszczerbioną przez rdzę ciemnoty, chropawą, zbrutalizowaną przez warunki życia. Chłop nasz kocha i cierpi — po swojemu. Ale przez tę miłość i cierpienia przebija się niececremonialna, nieupozorowana, naga interesowność. Dusza chłopska i jej potrzeby stoją na ostatnim planie życia szarego; jest ona piaskiem złotym, rozsypanym w warstwie jego potrzeb codziennych i w bagnisku pożądań materyalnych. Wydostać te ziarnka, wypłukać je z mułu i ulać z nich szlachetny czysty posąg, lśniący światłem, to nie jest dzieło, które można byłoby wykonać łatwo i szybko. Ten piasek złoty, niepostrzeżenie tonie w masie ciemnej i brudnej, zmateryalizowanych pragnień i potrzeb. Chłop kocha swe dzieci, a ta miłość złożona jest z sumy zalet i pożytku. Kocha więc jego mięśnie, zdrowie, rozsądek wrodzony, uzdolnienia, trzeźwość. Płacze i rozpacza po śmierci, bo stracił jedną z dźwigni swego bytu. Do tych cierpień czasem się dołącza pierwiastek szlachetniejszy — kilka ziarnek złota — duszy, nieoddzielonych od mułu życiowego; więc jest to cząstka cierpień ciemnego deterministy. Te subtelne drobiny może wyłowić, oddzielić i uwydatnić w pewnych ważnych chwilach wstrząśnień moralnych tylko taka utalentowana poetka, jak autorka „Chłopskiego serca" i głosu z za oceanu, bo zresztą uwydatniają się one tylko w niezwykłych chwilach wstrząśnień moralnych, niezależnych od poziomej szarzyzny drobiazgów życiowych.

Jeżeli więc taka surowa, dzika dusza chłopska z niespłukanym namułem, osadzonym w jej głębi przez mętne potoki warunków życiowych, znajdzie na drodze swojej czynniki drażniące, wtedy budzi się w niej wszystko, co jest najohydniejszego, ujawniają się porywy brutalne, a nawet zbrodnicze. Ofiarą tych porywów padają dzieci upośledzone fizycznie i duchowo, niepotrzebne lub zdrowe — lecz również znienawidzone. W społeczeństwie naszem, szczególnie chłopskiem, jest już ich procent tak znaczny, że gdybyśmy mieli statystykę ścisłą i wierną, przeraziłaby ona nas samą cyfrą w tej rubryce.

Cóż mówić o niedoli owych ofiar! Nie są to już kopciuszki, wyzyskane w literaturze dla dorosłych i dorastających, lecz istoty, wędrujące na Golgotę, żyjące pod wiecznym strachem, dręczone we śnie i na jawie obawą, że po wrogiem spojrzeniu ich władców-opiekunów spadną razy bolesne, że niepowodzenie w gospodarce, choroba krowy, szkoda w posiewach, susza lub słota odbije się boleśnie na ich skórze, utrwali się w sińcach, pękach włosów wyrwanych, pustym żołądku, wygnaniu z izby do kąta sieni, przeznaczonego dla nierogacizny. Połykając łzy, zaciskając zęby z bólu, szczerze one zazdroszczą wieprzom tuczonym, nad którymi gospodyni drży i rozpływa się. Te, którym ojciec zapalczywy grozi, że zabije, uciekają z domu, gdy sił starczy, kryją się po zaroślach zgłodniałe, zrozpaczone. Przed paru laty widzieliśmy chłopaka, napół zdziczałego, który uciekł od ojca okrutnego, tułał się całymi tygodniami po lasach, w nocy ukradkiem kopał kartofle i piekł je w gronie rówieśników-pastuchów, otaczających go serdecznością dziecinną i zsolidaryzowaną dyskrecyą. To są właśnie istoty, w których z czasem na tle bezdomności i zrozpaczenia pleni się popęd do zbrodni. Pomnażają one gromady podpalaczów, złodziejów, włóczęgów, żebraków lub tłumy schorzałych, apatycznych, niezdolnych do żadnej pracy tułaczów, zalegających progi szpitalne, ulice, podwórza i przedsionki ludzi, obdarzonych jakiemkolwiek „stanowiskiem społecznem," zwiększają rzeszę, zubożające całe społeczeństwo swą nieprodukcyjnością i nędzą.

Patrząc w perspektywę środków zaradczych, trzeba pamiętać o chwili bieżącej, o gwałtowności usunięcia złego, a więc niepodobna sięgać czynem do tych odległych czasów, na których kiedyś wzniesie się dusza chłopska, czysta i światła. Trzeba ją wziąć taką, jaką jest dzisiaj i surowość jej okiełznać surowością: artykułami prawa, zwiększyć odpowiedzialność rodziców za znęcanie się nad dziećmi, zobowiązać bliższe otoczenie do powściągania dzikich porywów tych ludzi i współdziałania z kodeksem. Obok tego nieodzowny jest inny środek: organizacya pomocy społecznej, stworzenie instytucyi, któraby przygarnęła wiejską dziatwę zniedołężniałą — ten istotny ciężar dla rodzin ubogich.

Z WYCIECZKI W DOLINĘ PRĄDNIKA.

(Dokończenie).

Z kolei poruszyć muszę poziomą, nudną, ale ważną niewątpliwie kwestye odżywiania, którą dzierżawca hotelów, dość niefortunnie dla gości rozwiązywał. Listy wszakże p. Adolfa D. (o których już ogólnie wspomniałem) przedstawiają tę stronę życia ojcowskiego w tak bezwzględnie ponurych barwach, iż samo poczucie sprawiedliwości każe się ująć za restauratorem. Pod względem hygienicznym i ekonomicznym nie było może różnicy między tem, co dawali konsumentom i brali od nich dwaj przemysłowcy (dawny i obecny); lecz pierwszy zasobami swymi, a bardziej jeszcze rutyną kupiecką i taktem — o wiele przewyższał drugiego; gdy zaś ustąpił, to zakładając nowe ognisko w Pieskowej Skale, rozwinął zręcznie taktykę konkurencyjną — co wyraziło się między innemi w narodzinach nowej, współzawodniczącej z hotelową, restauracyjki, otworzonej w Ojco-

---

Może ona czuje tam coś. Nie myślę, ażeby to była miłość, ale i nie zupełna obojętność. Zacząłem mówić o tem, że panny są to chodzące zagadki, że nie wiadomo kogo kochają, kogo nienawidzą, bo dla wszystkich są równie uprzejme.

Mama zauważyła, że dobrze wychowane panny powinny tak postępować. Może to i słuszne. W każdym razie nie mnie nie obowiązuje, mogę sobie niekiedy zachodzić. Panna Lucya bardzo wykształcona i zdaje się rada mnie widuje... Jak to głupio: rada mnie widuje! Zaczynam podług recepty Ignacego zadawalać się cieniami przedmiotów. Nie, panienko, tego za mało: albo całą duszę, całe jestestwo, albo nic. Przekonania moje są niewzruszone jak skała: wszystko, albo nic!

* * *

Za długi mam język i to jest właśnie moja wada. Opowiedziałem Anzelmowi, jak matki zalecają córkom, ażeby dla wszystkich były uprzejme i nikogo nie przekładały, aż się spełnią wyroki.

— Tak, tak — zawołał z gniewem — piękne wychowanie! Zupełnie jak na targowisku. Dobra przekupka dla każdego łajdaka musi być uprzejmą, niewiadomo bowiem, kto kupi towar. Jaka szkoda, że przedmioty nie posiadają głosu: usłyszałbyś, przechodząc po rynku, jak towary cieniutkim głoskiem przymilenia przemówiłyby do ciebie: „Ach panie, kup nas, tyś taki mądry i szlachetny... kup nas i spożywaj na zdrowie!" Skoro byś ominął, one by wołały to samo przy ukazaniu się innego przechodnia, aż znalazłby się łatwowierny lub zgłodniały i zapłacił, co się należy.

...Ten Anzelm zawsze mi humor zepsuje, ale cóż poradzisz, jeżeli ma słuszność? Nie mogę przecie iść na oślep, powinienem rozważyć *za* i *przeciw*. Człowiekowi, co ma lat dwadzieścia, wolno jest zrobić głupstwo, ale komu prawie czterdzieści (nie prawie, ale już, już...) ten powinien być ostrożnym.

W parę dni zaszedłem do Ignacego. Wysłuchał opowieści o straganie, zaśmiał się i rzekł:

— Wiesz, co ci powiem, cały twój Anzelm jest wcale nie dowcipnym. Porządny człowiek z każdym bywa grzeczny. Wyobraź sobie, że poszedłeś na rynek; podług jego przepisu, powinieneś grzecznie rozmawiać tylko z tą osobą, u której znajdujesz towar odpowiedni, inne zaś złajać i odejść. Otóż, mój kochany, cały w tem sęk, że nikogo nie będziesz łajał; interes—interesem, a przedewszystkiem towarzyskość. Jeżeli p. Lucya jest dla ciebie grzeczna, więc mnie, twego przyjaciela, ma witać grubiaństwem? Piękny przepis! Ignacy ma słuszność. Rzeczywiście, człowiek dobrze wychowany nikomu przykrości nie sprawi. Muszę dziś pójść do p. Lucyi, cały tydzień nie byłem, to nawet niegrzecznie.

* * *

Dziwne u Anzelma bywają osoby, np. ten student — jak z wykopaliska. Ma przytem w sobie coś, nie powiem szatańskiego, za wiele bym mu tem przyniósł zaszczytu, ale bezwątpienia jest dziwakiem. Kiedy rzekłem, jak się to nieraz mówi, że takie marne życie niewiele warto i że koniec końcem w łeb sobie palnę, on podchodzi ku mnie i powiada:

— Posiadam po mym wuju, który też w łeb sobie palnął, doskonałą, bo już wypróbowaną w tym względzie krucicę; jeżeli panu potrzebna, gotów jestem służyć.

Ignacy aż się zatrząsł z gniewu.

— Nie lubię — zawołał — cynizmu. Z takich rzeczy się nie żartuje. Każdy z nas może mieć chwile zniechęcenia, a nawet rozpaczy; obowiązkiem jest przyjaciół, a nawet znajomych, usuwać wówczas z pod ręki, a nie wskazywać narzędzia śmierci. Samobójstwo, mój panie, nie jest rzeczą godną, nie napróżno i religia i filozofia karcą ten rodzaj śmierci. Zresztą sama natura nie lubi tego; w całym zwierzęcym świecie samobójstwo nie jest znane.

— Zwierzęta są o wiele niższe od człowieka—zauważył flegmatycznie student—choćby dlatego, że nie posiadają ani daru mowy, ani daru samobójstwa, nie mogą tedy służyć za przykład dla istot rozumnych.

— Piękny mi dar: w łeb sobie palnąć!—zauważył adwokat Bunczyn.

wie na terytoryum włościańskiem przez niejakiego Musiałka, który spore grono gości do siebie ściągał, a miał zawsze świeżo od Gamona pieczywo. Słuszną w oderwaniu, ale całkiem zbyteczną i jako zarzut, niesprawiedliwą jest następna uwaga p. Adolfa D.: „Należy tu jeszcze dodać, że bufet restauracyjny w Ojcowie powinien być jednocześnie sklepem, gdzie byłoby można dostać pieczywa, mieł, papieru, zapałek, papierosów itd., jak to było za czasów Gamona...“ Otóż *bufet jest jednocześnie i sklepem*, a przynajmniej był nim w drugiej połowie lipca, właśnie wtedy, gdy p. D. dwukrotnie do Ojcowa, jak po ogień, wpadał. Przy restauracyi utrzymywano piekarnię (choć lichszą w swych wyrobach, niż dawniej); można też było—oprócz chleba, bułek, ciastek — dostać wielu innych rzeczy; kupowałem tu sam podczas 15-dniowego pobytu: zapałki, świece, cukier, kakao itp. Czy znajdowało się tam wszystko, co p. D. za niezbędne poczytuje, nie wiem; ale sam sklep z wielu artykułami spożywczymi istniał przy bufecie — za to ręczę.

Potrawy na obiad w restauracyi „pod Łokietkiem“ dawano wogóle zdrowe, lecz zbyt pospolite; a jadłospis w ciągu całego szeregu dni był rozpaczliwie monotonny. Gdy zapytałem gospodarza, dlaczego karmi swych stołowników ciągle „wołową, cielęcą i schabem,“ odpowiedział mi z całą szczerością: — Proszę pana, my do Goplany dawać musimy, według umowy, różne frykasy za tanie pieniądze; cóżbyśmy mieli, gdybyśmy na tutejszych gościach nie *odbili?*

— Zapewne — pomyślałem — śród warunków nienormalnych płacimy jedni za drugich... Ale czyżby nowy zarząd przez swego ministra spraw gastronomicznych głodem chciał zmusić zdrowych mieszkańców hotelu do poddania się kuracyi?.. Uciekajmy co prędzej pod łagodniejsze berło do Pieskowej Skały, którą prężysty przemysłowiec, współzawodnicząc z Ojcowem, w Eden prądnicki pragnie zamienić! Nim wszakże wykonałem to postanowienie, spotkała mię jedna niespodzianka, zmuszająca moralnie do odroczenia wyjazdu.

Przysłano mi w dwunastym dniu pobytu szczególny dokument. Na tekturce rozmiaru i kształtu małej koperty były wydrukowane następne słowa: „Bilet wejścia do parku w Ojcowie“; poniżej: „dla W-go“ (miejsce na nazwisko). Czyjaś ręka przekreśliła piórem wyrazy: „wejścia do parku w Ojcowie“ i napisała natomiast: „sezonowy,“—a nad tem rodzaj nagłówka: „Rs. 3 (trzy).“ Czuję, że ktoś sięga do mojej kieszeni... Ale kto? — Ha, zapewne gospodarz-karmiciel... Spieszę do bufetu restauracyjnego i pytam:

— Moi panowie, cóż to za pretensya bez tytułu? Za co ja mam płacić rs. 3?

— To nie od nas, proszę pana, — to od administracyi; tu przecie jest pieczęć.

Biorę do ręki i przypatruję się zblizka (było to wieczorem): u dołu, po lewej stronie, spostrzegam rzeczywiście odcisk pieczęci z pięknym napisem: „Administracya dóbr Ojców,“ a po prawej jakieś niewyraźne podcyfrowanie dwuliterowe. Wszystko to razem przedstawiało postać mglistą i zagadkową; tylko podwójnie przekreślone drukowanych wyrazów—„wejścia do parku w Ojcowie“—odbijało od tła jakimś rumieńcem dziewiczym. Widać było, że się wstydzono owego „parku,“ czy też pobierania opłaty za wejście na jego ścieżyny od osób, które w nim nie za darmo przecie mieszkały; oba bowiem hotele znajdują się właśnie śród „parku“...

Miałem tedy zapłacić za „bilet sezonowy“ „rs. trzy.“ Ale jakież prawa dawał mi dokument, — do czego otwierał drogę, — co mu za grunt legalny służyło, — czemu wreszcie żądano trzech, a nie trzystu rubli?.. We wszystkich wogóle miejscach kuracyjnych opłaty wpisowe są ściśle określone prawami,—nie stanowią żadnej niespodzianki, — racya ich bytu jest jasna; lecz „bilet sezonowy“ ojcowski — to poprostu... moneta fałszywa. Wielu zapewne gości hotelowych wzięło ją za rzetelną i uległo niesprawiedliwemu żądaniu, płacąc haracz w kwocie — jużto ośmiu (od rodziny), jużto trzech rubli (od osoby pojedynczej); znaczna wszelako ich ilość odmówiła wypłaty, a protestom (nieraz bardzo ostrym) wtórowało zawsze wymowne ze strony administracyi milczenie. Godne uwagi, że jednej, znanej mi rodzinie (złożonej z trzech osób), przysłano dwa bilety: ośmiorublowy i trzyrublowy — dla wysondowania widocznie źródła cierpliwości, i w nadziei, że się któryś z nich da na pieniądze wymienić. Przyjęto w końcu opłatę mniejszą, wraz ze słowami surowej prawdy, wypisanemi na odwrotnej stronie karty... Szczegół ten nie potrzebuje komentarza. Idąc za głosem sumienia i przykładem innych, poprosiłem piśmiennie administracyę o wyjaśnienie pretensyi pieniężnej, a nie otrzymawszy odpowiedzi, po upływie kilku dni wyjechałem do Pieskowej Skały.

Droga wiodła do celu pół mili traktem olkuskim, a następnie, zwróciwszy się w prawo—piękną aleją jarzębinową i piękniejszym od niej, ale pełnym wybojów błotnistych, młodym lasem bukowym. Jadąc, doświadczałem jakby wyrzutów sumienia—na myśl, iż tak chłodno, a może na zawsze porzucam przed dwunastu laty pokochane, zacisze urocze. Zimna refleksya, w przymierzu z wrażliwością fizyczną i filistrowskiemi nawyknieniami, usprawiedliwiała rozbrat, a pochmurne niebo przypominało smutną postać padołu ojcowskiego podczas przebytej niedawno trzydniówki deszczowej. Widzę, jak w godzinach, nie przeznaczonych ani na sen, ani na przystrój ciała i odżywianie, wybici ze zwykłej kolei obowiązkowych zajęć, a przeważnie obcy sobie nawzajem, mieszkańcy dwu poblizkich hotelików, siadają, nierówno ugrupowani, na podsieniu (czyli t. zw. „werendzie“) i gawędząc lub milcząc, spoglądają od czasu do czasu to na ruchome sklepienie ołowiane, to na drzewka w „okólniku,“ brzemienne łzami dżdżowemi. Przy jednym stole rozmawia — nie bez intencyi donżuanowskiej — dość korpulentny, pięćdziesięcioletni ojciec rodziny, prezes Astmowicz z młodziutką blondynką, laleczkowatą panią Flirtecką. On z całem namaszczeniem biernego wyznawcy hydropatyi, maluje przed nią szczegółowo przebieg swej kuracyi, której się poddaje, jako przychodni pacyent gopłański; ona mało mówi, strzela dokoła oczkami i co chwila głośnym wybucha śmiechem. Przy sąsiednim stole siedzi wysoki mężczyzna, pozujący na turystę z powołania, stary, o farbowanych wąsach kawaler, w czarnej peruce na głowie, Podagrowski, i dziwy komuś rozpowiada o swych podróżach zagranicznych. Wtem nadbiega dziarski, modnie ubrany młodzieniec, podaje na powitanie rękę Flirteckiej, i przypomina, że według wczorajszej umowy ma z nią dziś rozpocząć *lekcye* gry

---

— Rozumnie zużytkowany wcale jest dobrym. Mowa ludzka też bywa źródłem nieprzyjemności, nieszczęścia, a nawet zguby dla mówiącego, nie znaczy to jednak, że jest złem.

— E, mój panie — zawołał Ignacy — są to oklepane sofizmaty. Schopenhauer słusznie powiada: życie jest grą; cobyśmy powiedzieli o takim graczu, który, gdy mu przyszły złe karty, rzucił je precz i odszedł od stołu? Byłby śmiesznym, nic więcej.

— Schopenhauer — wycedził student — nie trafny dał przykład. Najprzód nie każdy grę lubi, powtóre nawet ten, co lubi, nie chce, ażeby go zmuszano gwałtem, nie pytając chce, czy nie chce grać. Przychodzimy naprzykład do p. Anzelma na pogawędkę, a nam każą zgrywać się. Pięknie bym wyglądał z lichą kartą w ręku, mając zaledwo dziesiątkę w kieszeni. Jużci przegrawszy ją, odszedłbym od stołu. Lepiej być śmiesznym, niż oszustem. Jeżeli życie jest grą, więc grą przymusową, czego właśnie Schopenhauer nie dostrzegł.

— Skoro, podług pańskiego zdania, samobójstwo jest darem — rzekłem ochłonąwszy nieco z oburzenia — powinno ono służyć dla dobra człowieka. Ciekawym też, jaki użytek można mieć z tego daru?

— Bardzo wielki — odparł dziwak. — Tworząc człowieka nagim, bezbronnym, z wielkim zasobem nerwów, natura bezwątpienia miała na względzie, że taka istota nieraz może się ujrzeć w okropnem położeniu, np. cierpiąc męczarnie oczekiwać śmierci powolnej z głodu, zimna, ran... Czyż w takim razie samobójstwo nie jest wybawieniem? Jużci każdy człowiek walczy, póki może, o swój byt; ale na wszelki wypadek mieć możność odejścia ze świata, czyż to nie znaczy posiadać niezmierną siłę? Choćby mię najgorsza spotkała przygoda, nigdy nie będę rozpaczał, gdyż wiem, że jeśli będzie jeszcze gorzej, mam w zapasie taki puklerz, za którym i od złego losu i od wrogich żywiołów, słowem od wszelkich prześladowań bezpiecznie mogę się ukryć. Niczego się tedy nie lękam i żyję na zdrowie.

Anzelm zadowolony roześmiał się; za to Ignacy rozgniewał się nie na żarty.

— Tym sposobem ja panu dobrodziejowi dowiodę innej prawdy. Dąb ma szerokie konary w tym celu, ażeby go na starość burza łatwiej obaliła; jest to darem natury, bez niego drzewo musiałoby długie lata próchnieć i ginąć powoli.

Jużci Ignacego trudno zbić z tropu, ale co się mnie tyczy, choć dotychczas jestem obarczony za krucicę, muszę przyznać, że ten dziwak ze swoim darem wcale dowcipny. Takiego poglądu chyba nie można nazwać pesymizmem.

* *
*

Byłem u p. Łucyi, ale nie rad jestem, że poszedłem. Jakiś Narski, rubaszny jegomość ze wsi przybyły, prawił od rzeczy, a inni mu wtórzyli. Zaledwo wszedłem wyskoczył jak Filip z konopi z konceptem, ażeby wszystkich starych kawalerów opodatkować na korzyść rodzin mających liczne potomstwo. Ciekawi ci jegomościowie z licznem potomstwem! Myślałbyś, że jest to dla nich nieszczęściem; jeśli tak, z miłości ku bliźniemu powinniby innych ostrzegać przed niem, a jeżeli jest szczęściem, po co narzekają? Skończy się na tem, że człowiek zupełnie przestanie z domu wychodzić. Od lat kilku, gdy nastanie jesień i zjadą się z letnich wycieczek znajomi, zamiast cieszyć się z tego, czujesz przykrość; zaledwie dokądś zajrzysz, pierwszy wyraz, jakim cię witają, wyraz banalny, stereotypowy: „Ach, myśleliśmy, że z żoneczką!“ I przytem kiwanie głowami, uśmieszki. Czym to błazen jakiś, ażebym miał służyć za przedmiot do żarcików! Nie, dosyć tego! Do Buńczynów, do Horodyniów jeszcze można zaglądać, więcej do nikogo. Wreszcie, co mi z tego przybędzie, że wysłucham niezmiennych relacyj o wodach cudownych, o pogodzie, o maluczkich wrażeniach z podróży—zdobycz licha, a nudów bez końca. Jeżeli powiadacie, żem stary kawaler, niechże nim będę.

(D. c. n.)

w kręgle. Następuje niebawem przetasowanie tej części grup towarzyskich: dama, pożegnawszy Astmowicza, śpieszy, pomimo deszczu, wraz z mistrzem na *wykłady*; a p. prezes wypuszcza ze swych oczu, przypominających dojrzały owoc belladony, jadowitą za młodemi strzałę, i spokojnie podchodzi do drugiego stołu.

— Czy można usiąść? — pyta.

— Bardzo prosimy.

Podagrowski zawiązuje z przybyłym potoczną rozmowę:

— Jakże zdrowie pana prezesa?

— Lepiej, — ale dyeta ciężka; oprócz mleka nic mi pić nie wolno. Bardzo lubię rosół; pytam więc doktora... „Nietylko nie radzę — odpowiedział,— ale nawet surowo zabraniam.“ Ledwo sobie na jedną szklankę herbaty ze śmietanką wyrobiłem pozwolenie...

— Ale wodę pić można?

— Gdzie tam! — chyba jeden łyk, w razie wielkiego pragnienia.

— A, cóż znowu za szczególny zakaz! — *tu* przynajmniej nie radziłbym na to zważać; woda w Ojcowie jest lepsza, niż gdziekolwiek, bo ma w sobie dużo tlenu.

— Tlenu? — cóż to jest?

— To taki gaz, bardzo zdrowy...

— Tak? — nie wiedziałem.

Zapanowała kilkominutowa cisza, co było dowodem, że kwestyę wyczerpano; erudycya chemiczna turysty wydęła się, jak purchawka, i wobec niemego uznania na wawrzynach legła. Finał rozmowy (najzupełniej autentyczny) tak mię w swoim czasie ubawił, że gdym go sobie teraz, jadąc, przypomniał, zatopiony w myślach o Ojcowie, roześmiałem się głośno i odjąłem dłoń od poręczy—właśnie wtedy, kiedy wózek, trafiwszy na grubszą faszynę w wyboju błotnistym, drgnął nagle i o mało mię na ziemię nie wysadził. Jednocześnie zaświtało pole z pniakami, pozostałymi po wyciętej części lasu, i pożądany kres krótkiej podróży.

Pieskowa Skała — to malowniczy, pełen jakiegoś uroku mitycznego, łagodnym łukiem od strony Prądnika zatoczony, wąwóz o płytkiem pogłębieniu, — ustronie wyższe znacznie poziomem swego gruntu, niż Ojców — rzadziej zapewne przez deszcze, ale częściej nawiedzane przez wiatry. Wszystkie jego prawie dzisiejsze budynki mieszkalne (w liczbie sześciu. czy siedmiu) stoją szeregiem obok drogi głównej — już to w nizinie, nad rzeką, już to na pochyłości wzgórza, przeciwległego zamkowi.

Przeszłego lata chciwi wrażeń przybysze spoglądali naprzód ze zdawkowym podziwem na fantastycznie bezkształtną (znacznie szerszą u wierzchołka, niż u podstawy) „Skałę sokolą,“ kolumnę samorodną, sterczącą niby skamieniały stróż-olbrzym poniżej stóp grodu,—dążyli następnie w górę ku zamkowi i cofali się niebawem z przed jego drzwi wchodowych (które zamykała wówczas pieczęć komornika olkuskiego),—błądzili po zaniedbanym parku,— zaszli może przypadkiem pod osłonięty kaliną a otoczony kilkunastu, śród jodeł rosnącemi, brzozami, krzyżyk żelazny, — wreszcie nie mając gdzie spocząć, odjeżdżali natychmiast z powrotem. Dzisiaj wędrowiec, zawitawszy na terytoryum Pieskowej Skały, niema wprawdzie szerszego pola ani do badań archeologicznych, ani do zachwytów nad obecną kulturą (zamek, choć otwarty, świeci pustkami: ślady przeszłości na jego ścianach dawno już zatarto, a odnowienie, dokonane w r. 1877, zestarzało się w znacznej mierze i grzybem pleśni porosło); ale może on bezpiecznie przez długi szereg dni w porze lata odradzać swe siły przechadzką po pięknym lesie; bo wie, że głód i pragnienie zaspokoi w t. zw. „Murowańcu“ (gdzie jest restauracya, oraz piekarnia z odpowiednim sklepem), a wczas i nocleg znajdzie w hoteliku lub w jednej z czterech willi.

Gdy uprzedzony o wynikłej z niefortunnego w sąsiednim gniazdku powikłania zdarzeń, szczęśliwej zmianie warunków życia dla Pieskowej Skały, przybyłem do niej 23 lipca na kilka godzin z Ojcowa, aby tu wkrótce potem tydzień lub dwa zamieszkać, — dowiedziałem się przypadkiem w restauracyi z ust plenipotenta miejscowego i właściciela największej kolonii w Sułoszowie. p. Antoniego Adamskiego o efektownym a głośnym już dzisiaj pomyśle sprzedania bezdziedzicznej, że tak rzekę, spuścizny spółce drobnych kapitalistów. Wieść ta — wyznać muszę — jasnym zrazu przed oczyma duszy błysnęła meteorem; bo jakiż robak ludzki z t. z. inteligencyi naszej nie pragnąłby zostać współwłaścicielem lwich resztek starego grodu. Później jednak, wznawiając kilkakrotnie kwestyę w rozmowie ze szczupłem gronem wtajemniczonych, doszedłem do osobistego przekonania: 1) iż projekt, którego twórcą mógł być sam dziedzic lub jego plenipotent, zestarzał się nieco w ukryciu, bo — jak opowiadano — rozbierali go już kolegialnie przed wielu miesiącami dwaj finansiści: p. L. z Warszawy i p. H. z Kielc, — ale się wszystko na libacyach winnych skończyło; 2) że zamiar sprzedaży — w zwaliskach do połowy leżącego zamku i 400 morgów gruntu (z których około 290 młodym lasem zarasta) spółce średniozamożnych „inteligentów“ za 50 tysięcy rubli — podczas gdy Żydzi dają podobno 40 — jest bardzo praktyczny...

W jaki sposób p. A. D., słynny powieściopisarz, został pasowany na rycerza sprawy i autora pomysłu, nie umiem sobie dokładnie wyjaśnić; to tylko pewna, że kreśląc pierwszą swą korespondencyę do *Kuryera Warsz.* (nr. 218) nie uważał jeszcze projektu za własny: *„dowiaduję się* (powiada) z otrzymanego listu, *że powstała myśl* założenia spółki letników w celu zakupienia i zakonserwowania zamku na Pieskowej Skale...“ Bądź co bądź firma p. Adolfa Dygasińskiego służy za rękojmię, że sprawa toczyć się będzie w duchu, zgodnym z zasadami uczciwości obywatelskiej; tylko powodzenia wróżyć jej nie można; bo, po pierwsze, sam wódz, uprawiający dotąd piśmiennictwo wychowawcze i beletrystykę, na obce dla siebie wkracza pole; powtóre, spółki tego rodzaju nie dojrzewają zwykle na naszej ziemi; po trzecie, inicyatorowie po błędnym już dziś do celu idą torze, — pierwej bowiem przystępują jakoby do wzniesienia budynku, składając deklaracye na dziesiątki tysięcy rubli, a potem dopiero wysyłają komisyę na miejsce dla zbadania gruntu. Przypomina to nam w drobnej miniaturze epokową chwilę sejmu czteroletniego, gdy śród ogólnej radości ustanowiono stutysiączne wojsko, a następnie poczęto się kłopotliwie krzątać około zebrania funduszów... Miejmy wszakże nadzieję, że ruch, w danym kierunku obudzony, zachęci jakiego światłego potentata pieniężnego do zakupienia starej siedziby wielkopańskiej i obrócenia jej zasobów na własną i całego społeczeństwa korzyść.

A. G. Bem.

LIBERUM VETO.

Wpływ wielkich idei. — Burząc dawne więzienia stawiają nowe. — Zamknięcie się umysłów w bakteryologii i zaniedbanie pól po za jego murami. — Środek przeciw rakowi i inne specyfiki. — Postępy technologii. — Wpływ jej wynalazków na życie społeczne. — Pozór i rzeczywistość. — Dziedzina niespodzianek i wielkich przemian.

Wielkie idee, wyzwalając umysł ludzki z więzień, w których on długo przebywał, osadzają go w innych, w których również długo pokutować musi. Rzec można, że taka idea burzy Bastylię starą, a buduje nową. Przypomnijmy sobie dzieje arystotelizmu, platonizmu, kartezyanizmu, darwinizmu itd., a łatwo dostrzeżemy, że każdy z nich był w stosunku do poprzedników swoich wybawicielem, ale w stosunku do następców ciemięzcą. A im potężniejszym jest błysk nowego ducha, im mocniejszem światło, które on rozpala nad drogą postępu ludzkości, tem grubszym przesłania mrokiem późniejsze błyski i światła. Geniusz przechodzi przez świat nietylko jako zdobywca, nietylko panuje nad nim jako prawodawca, ale go przygniata swą władzą jako tyran. Nieraz upływają setki lat i nikt nie śmie wypowiedzieć mu posłuszeństwa i strącić z tronu. Kto dziś po dwu przeszło wiekach miałby odwagę zbuntować się przeciwko Newtonowi, chociaż niejeden już może wątpił o niewzruszoności jego praw?

Na takie uwięzienie myśli ludzkiej, na takie wszechwładztwo nad nią geniuszu patrzymy obecnie. Nie ulega wątpliwości, że Pasteur wraz z całym sztabem i legionem innych współpracowników w bakteryologii otworzył przed nami całkiem nowe dziedziny zjawisk i wskazał badaniom naukowym nowe kierunki. Zwrócone, albo raczej rzucone siłą jego odkryć umysły ku poszukiwaniom drobnoustrojów chorobotwórczych, zdobyły już ogromną ilość wyników pierwszorzędnej wagi: wykryto cały szereg nieznanych dotychczas żyjątek, powodujących lub warunkujących ciężkie i zabójcze stany organizmu ludzkiego, wynaleziono sposoby zwalczania wrogów zdrowia i zapobiegania niebezpieczeństwom śmierci, a nieustające i dalsze prace obiecują jeszcze plon świetny. Ruch po tym torze jest tak szeroki i natężony, że hasłem obecnego czasu dla teoretyków stała się bakterya, a symbolem dla praktyków — szprycka Pravaza. Pierwsi dokładają wszelkich sił, ażeby wytropić jakiś nowy, kryjący się przed śledczem okiem drobnoustrój chorobotwórczy, drudzy z natychmiastowym pośpiechem doświadczają go w szczepieniach ochronnych. Nie potrzebujemy ani przypominać, ani zachwalać czytelnikom szczęśliwych powodzeń i wspaniałych rezultatów bakteryologii, gdyż każdy człowiek ukształcony zna je doskonale; chcę tu tylko paroma słowy zwrócić uwagę na... nową Bastylię.

Świeżo gazety codzienne obiegła wieść, że jeden z lekarzy rosyjskich sprawdził uleczalność raka zapomocą bardzo powszechnego ziela, zwanego *glistewnikiem*. Nie mogę naturalnie otwierać tej wiadomości ani względnego, ani bezwzględnego kredytu, gdyż zalecony środek musi wytrzymać próbę ścisłych doświadczeń medyków, którzy rozstrzygną o jego wartości leczniczej. Ale pytanie: czy oni się nim zajmą? Bo wszakże tu nie chodzi o nową bakteryę, ale o specyfik, który dziś zszedł na plan dalszy. Jest to wątpliwość uzasadniona bardzo wieloma dowodami. Za drobnoustrojami gonią wszyscy, za lekami oglądają się tylko maruderzy, którzy nie mogą „zdążyć z postępem.“ Tymczasem uderzywszy czołem przed bakteryologią, przyznać musimy, że ona już dla umysłów badawczych zbudowała Bastylię i że ci wszyscy, którzy szukają prawdy za jej murami, nie obrabiają pola jałowego. Lekom, dobytym ze świata mineralnego, roślinnego i zwierzęcego, terapia zawdzięcza największe swoje zwycięstwa i dotąd stanowią one główną jej podstawę. Nie ulega również wątpliwości, że w tych trzech światach spoczywa bezmierna ilość nieznanych środków, które kiedyś zbadane w swych właściwościach, zdejmą niejedną plagę ze zdrowia ludzkiego. Być może, iż na każdej miedzy lub na każdem błoniu rosną zioła, które kiedyś okażą się najskuteczniejszymi specy-

fikami przeciw chorobom, od tysiąców lat daremnie zwalczanym przez naukę. Otóż zdaje mi się, że poszukiwania w tym kierunku obecnie bardzo osłabły, że one zbyt wyłącznie uwięzły w drobnoustrojach. Rzeczywiście bakteryologia dała i da nam wiele prawd i sposobów ratowania zdrowia, ale stanowi ona tylko wązką szparę, przez którą umysł ludzki spogląda w bezbrzeżną krainę tajemnic wiedzy. A nawet jej metoda praktyczna nie może stanowić nigdy najdoskonalszej formy usuwania chorób. Bo wyobraźmy sobie, że znamy już wszystkie ich czynniki twórcze, że wyłowiliśmy delikatną siecią wszystkie *koki*, które hodujemy na agarach i kartoflach, że wreszcie każdą chorobę możemy uprzedzić lub pokonać w rozwoju zastrzyknięciem odpowiedniej kultury; czy ten stan bezpieczeństwa, w którym zamienimy się na rezerwoary przeróżnych bakteryj, można nazwać pożądanym? Bynajmniej. Zawsze będziemy woleli zażyć kilka proszków chininy, niż naszpikować się bakteryami malaryi, wypić odwar glistownika, niż nadziać się bakteryami raka.

Niech mnie nikt nie posądzi, że kuszę się zmniejszyć w najdrobniejszej cząstce doniosłość badań i wyników praktycznych bakteryologii, a również niech mi nikt nie powie, że wstępuję z kazaniem na cudzą ambonę. Sama bowiem robota szczegółowa w nauce jest rzeczywiście gruntem, zastrzeżonym dla specyalistów; ale kierunki myśli człowieczej są sprawą podlegającą sądowi wszystkich wykształconych ludzi. Kiedy darwinizm zapanował nad wiedzą przyrodniczą, krytykowali go nawet ci, którzy nigdy nie zajmowali się biologią. Więc również można nie być ani lekarzem, ani badaczem laboratoryjnym, a jednak dostrzegać zacieśnienie się obrębu poszukiwań i wyłączności dążeń naukowych. Z tego ogólnego stanowiska obserwowany ruch medyczno-przyrodniczy przedstawia nam się jako zwrot, który przynosi nam wielkie odkrycia i wielkie zaciemnienia, swobodę myśli i jej niewolę. Ale — jak zaznaczyłem — taki wpływ wywiera każda nowa idea.

Jedna może tylko technologia nie zamyka się w ograniczonem kole pomysłów, lecz ciągle mając oczy utkwione w potrzeby ludzkie, usiłuje zaspokoić wszystkie. Dzięki temu, że zatargi Coquelina z Komedyą Francuską są przedmiotem baczniejszej uwagi, niż prace wielkich wynalazców, dzięki temu, że swawolna operetka szybciej zdobywa sobie rozgłos, niż genialna maszyna, wiemy mało i dowiadujemy się bardzo późno o zdumiewających postępach techniki. Nieraz zwiedzając wystawy przemysłowe, spotykamy na nich co krok wynalazki, które wprawiają nas w zdumienie. I pytamy wówczas siebie: to istnieje, oddaje ludziom nieocenione usługi, a my o tem wcale nie słyszeliśmy, my, którzy wiemy, ilu Judic miała kochanków, a chedyw egipski—żon? Dziwna rzecz! Dziwna a prawdziwa. Parę przykładów. Zdaje wam się, jak i mnie, że wszystko, co jest ważnem, nie jest wam obcem. Otóż czy słyszeliście, że w Niemczech kopiują druki chemicznym sposobem z najzupełniejszą wiernością i bardzo tanio? Ja dowiedziałem się o tem przypadkowo, gdy Kasie Mianowskiego zaproponował drugie wydanie tym sposobem *Księgi przysłów* Adalberg. Dalej, czy słyszeliście, że na wystawie berlińskiej okazano maszynę, która, zamiast czcionek pojedynczych, odlewa odrazu cały wiersz żądanej formy drukarskiej? I o tem dowiedziałem się przypadkowo. Gdyby nie przybył do Warszawy przedsiębiorca i nie przeprowadził po jej ulicach powozu, poruszanego parą, nawet nie domyślalibyśmy się istnienia „samochodu“ — wynalazku, który, upowszechniwszy się, dokona niewątpliwie przewrotu w wielu dziedzinach życia ekonomicznego.

I to właśnie jest główny punkt, który powinien ściągać naszą uwagę na postępy techniki, mianowicie, że one oddziałają głęboko na stosunki życia społecznego. Ludzie mogą przez dziesiątki i setki lat mleć teoryę, walczyć argumentami, przekonywać się wzajemnie wszystkimi sposobami logiki—bezskutecznie. W tej walce na słowa i dowody każdy pozostaje na swojem stanowisku z wiarą w nieomylność własnego rozumu. Ale jednego dnia staje między zwaśnionymi jakiś wynalazek, jakiś przyrząd, machina, która najprościej, najszybciej i najlepiej spełnia pewne zadanie techniczne, a pośrednio zmienia pewien splot stosunków ludzkich, wiążąc łańcuch dalszych następstw prawie bez końca. Pozornie nie wygląda ona wcale na reformatorkę społeczną i zdaje się mieć bardzo szczupły krążek wpływu; pomału wszakże dostrzegamy, że ona nim sięga daleko po za swoje przeznaczenie techniczne. Widząc po raz pierwszy niewinny przyrząd do nawlekania nici w tkalniach, nie posądzamy go wcale, ażeby on mógł stać się czemś więcej, niż przyrządem do nawlekania nici; dopiero gdy zbędą ręce, które on zastąpił, gdy im odbierze chleb i wywoła skutki nędzy, oceniamy jego potęgę.

Nieraz, a dziś bardziej niż kiedykolwiek, zabawnie wyglądają kłótnie ludzkie o słuszność tej lub owej teoryi społecznej, o niewzruszoność tej lub owej zasady życia, o wyższość tego lub owego systemu postępowania; zabawnie dlatego, że na uboczu stoi technika, która drwi z tych zapasów słownych, przekonana, że ona swymi wynalazkami przeważy na szali losów świata najwymowniejsze morały. Dziś istotnie ona ujęła te losy w swoje ręce i od niej daleko więcej zależą przemiany w ustroju życia i biegu wypadków, niż od filozofów i reformatorów. Pomyślmy bowiem tylko, jakim to nieskończonym przekształceniom uległyby stosunki ludzkie z chwilą, w której wynalezionoby kierowanie balonami! Kto ma bujną wyobraźnię, niech ją puści w lot tej możliwości, a łatwo dostrzeże, że ten wypadek nie ograniczyłby się tylko na pomnożeniu środków komunikacyi. A ileż jeszcze innych, nieprzeczuwanych pomysłów spoczywa w łonie geniusza ludzkiego!

Poseł Prawdy.

BADANIA NAUKOWE.

GROMADA PRA-DZIKA.

III.

Ceremonie wtajemniczenia jako przeżytek. — Antagonizm pomiędzy starszem i młodszem pokoleniem mężczyzn i początek zakazów małżeńskich w zakresie linii wstępnej i zstępnej. — Organizacya klubów. — Ustrój Masajów. — Wnioski.

Mówiąc o istnieniu przeżytków u Australczyków, poparliśmy swoje wywody rozbiorem obrzędu wtajemniczania młodzieży w obowiązki wieku męzkiego. Ceremonia powinna przyuczyć wyrostków do hartu ciała i ducha, zapoznać ich z praktykami czarodziejskiemi i wierzeniami religijnemi plemienia, wskazać ciężary życia gromadnego oraz obowiązki, spoczywające na dojrzałych członkach społeczeństwa. Rzecz to zrozumiała, iż dziki używa odpowiednich symbolów, ażeby tem głębiej w umyśle młodocianym wyryć pewne zasady. Dla wdrożenia wyrostków w tory wieku męzkiego, uroczystość posługuje się żywymi obrazami. Jest ona w gruncie rzeczy przedstawieniem, które ciągnie się przez wiele dni z rzędu. Jużeśmy zaznaczyli, że wśród szczegółów rytuału istnieje sporo rysów, świadczących, że zadanie ceremonii było pierwotnie zgoła inne.

Młodzieniec na czas wtajemniczania jest faktycznie wyrzucony z pośród gromady społecznej. Obcuje on tylko z towarzyszami obrzędu zdala od plemienia i nieraz jest z niem jakby na stopie wojennej. Odosobnienie to uwydatnia się zwłaszcza w stosunku do kobiet, z któremi nietylko nie wolno wyrostkom przestawać, ale nawet widywać ich ze znacznej odległości. „Gdyby kobieta zobaczyła lub dowiedziała się czegokolwiek z tych nauk, których udzielamy młodzieńcom, zabilbym ją“ — rzekł pewien Kuznajczyk do Howitta. Młodzieniec jest dopuszczony do życia plemiennego dopiero po upływie paru miesięcy, przyczem nie może on nadal spędzać wczasów z matką i siostrami, lecz przebywa w oddzielnie położonym obozie kawalerskim, który opuszcza, poślubiając kobietę. O terminie wtajemniczenia wyrokuje rada plemienna bez wiedzy rodziców: mężczyzni porywają chłopca znienacka, zwłaszcza w tych plemionach, u których obrzędowi towarzyszy obrzezanie. Obóz przedstawia w takich chwilach obraz kłótni i zamętu, kobiety wrzeszczą i lamentują, wszczyna się bójka, w której niekiedy krew płynie, lecz pomimo takich skutków waśń jest tylko pozorem! Porwani są wystawieni na chłód, głód i inne ciężkie przejścia. Jest to jednak rzeczą naturalną i wytłomaczoną z punktu celów obrzędu: zahartowania młodzieńców. Są jednak jeszcze inne rysy, niedorzeczne, choć zarazem bardzo charakterystyczne. Starsi mężczyzni skrupulatnie niszczą na twarzy chłopców zarost i inne włosy, zwiastujące dojrzałość, pastwią się nad nimi i nawet grożą im śmiercią i kalectwą. Niektóre rany są tak ciężkie i przytem takie, iż pozbawiają niejednego możliwości zostania kiedykolwiek ojcem, acz nie przeszkadzają spełnianiu obowiązków małżeńskich. Niekiedy, właśnie w tym okresie ceremonii, gdy wyrostek ulega najcięższemu okaleczeniu, w obozie, śród starszego pokolenia, panuje swawola miłosna — jest to u Dyjerów pora bezładu i „najohydniejszych praktyk — każdy zna każdą.“ Wtajemniczaniem kierują starsi wiekiem mężczyzni, przyczem nie zbywa na obrzędach osobliwego charakteru — starcy np. pozornie wpadają w gniew, tupią nogami, rzucają się na wyrostków itd. Trudno zapuszczać się nam w różne szczegóły, chociażby były one bardzo interesujące, ani też nie możemy poddawać rozbiorowi doniosłości pojedynczych faktów i wzajemnego ich stosunku. W ogólnym zarysie przedstawiliśmy te zpośród nich, które są w jaskrawej sprzeczności z duchem dzisiejszych celów uroczystości i niewątpliwie należą do przeżytków, pochodzących z wcześniejszej epoki, gdy ceremonie miały na widoku inne zadania. Zastanawiając się nad opisami, które znajdujemy w dziełach pisarzy o szczepie australskim, nie możemy oprzeć się wyciągnięciu pewnych wniosków z różnych przeżytków, towarzyszących sakramentowi męzkości. Czyż to pozorne bójki między mężczyznami i kobietami w obozie, staczane z powodu porywania chłopców, lub pomiędzy starcami a młodzieżą już podczas tułania się wyrostków w samotności, nie są objawem szczątkowym, pozostałym po czasach, w których pozór był rzeczywistością? Lub wydalanie przymusowe młodzieży z obozu czyż nie jest pušciną po rzeczywistej ucieczce i rzeczywistem ściganiu? Czyż wreszcie wyskubywanie zarostu, wybijanie zębów lub inne kalectwa nie przedstawiają łagodnego powtórzenia dawnych zabiegów daleko okrutniejszych? Ceremonia wtajemniczenia spełniłaby swoje cele bez takich szczegółów i nawet absurdów! Ogół przytoczo-

nych faktów skłania nas do twierdzenia, że niegdyś, w odległej i zamglonej przeszłości, był okres, w którym starsze pokolenie mężczyzn tolerowało w gromadzie tylko małoletnich przedstawicieli tej samej płci. Gdy malcy podrastali, z oznakami nadchodzącej dojrzałości zaś ukazywały się instynkty męzkie, generacya starsza zaczynała naówczas prześladować współzawodników i wypędzała ich z gromady. Taki antagonizm uwydatniał się zwłaszcza podczas zborów, idących jeszcze dzisiaj na lądzie N. Holandyi w parze z rozpasaniem powszechnem— wtedy gdy pod działaniem peryodycznie występującego instynktu rozpłodczego powstawały zbiegowiska. Ceremonia wtajemniczenia pojawiłaby się już później, jako pewnego rodzaju kompromis pomiędzy walczącymi samcami.

Zwyczaje te, jakkolwiek odskakują od wzorów dzisiejszych, nie są tylko wnioskiem, wysnutym z natury przeżytków australskich. Istnieje jeszcze inna grupa faktów, wskazująca możliwość takiego stanu rzeczy, mianowicie spotykamy takie samo ściganie dorastającej młodzieży u zwierząt, żyjących stadami. Wśród lam guanaków „każde stado składa się z kilku samic i jednego samca, który znosi w pobliżu tylko młodych samczyków, niezdolnych jeszcze do reprodukcyi. Z chwilą, gdy dosięgną one pewnego wieku, zaczynają się bitwy, skutkiem których najsłabsze, zmuszone ustąpić silniejszym, łączą się z rówieśnikami i młodemi samiczkami na uboczu.“ W ten sposób trzoda guanaków rozpada się na dwa pokolenia, ojców i synów, co nastaje pod wpływem instynktu fizyologicznego, właściwego młodzieży — łączenia się w pary nawzajem. Prześladowanie jedynie przyspiesza sprawę wydzielenia synów. Prawdopodobnie z takiego samego źródła wziął początek w rodzie ludzkim zwyczaj nieobcowania małżeńskiego przedstawicieli linii zstępnej i wstępnej. Morgan, ażeby wytłómaczyć go, przypuszcza, że człowiek pierwotny, poznawszy z doświadczenia ujemne strony podobnego stosunku, w sposób świadomy a celowy nałożył hamulec na kazirodztwo. Naszem zdaniem, zakazy tworzyły się żywiołowo, bez udziału świadomości o szkodliwych następstwach. Pociąg fizyologiczny młodych do młodych oraz antagonizm ze strony starszych mężczyzn były tam czynnikami, których działanie wystarczało dla wydania odpowiednich wyników. Niebawem zobaczymy, iż podobieństwo rozciąga się jeszcze dalej, aż do zupełnego niemal powtarzania objawów, właściwych trzodom guanaków.

Przedtem jednak musimy zwrócić uwagę jeszcze na inne fakty. Podczas obrzędu wtajemniczania opiekę nad młodzieżą rozciągają młodsi, lecz już wtajemniczeni mężczyźni, pochodzący z tej części plemienia, która posiada prawo obcowania małżeńskiego z siostrą rodzoną, względnie plemienną, wyrostka. Niepodobieństwem jest w luźnym artykule przedstawić zakazy i przyzwolenia małżeńskie, poprzestaniemy więc tylko na zaznaczeniu ostatecznych wniosków, do których doszliśmy na podstawie pochodzenia owych opiekunów, przyczem z góry nadmienimy, że ten szereg naszych przypuszczeń opiera się na materyale daleko mniej wiarogodnym, aniżeli poprzednio wysnute.

Wzmiankowaliśmy już, że współzawodnictwo pomiędzy starszem a młodszem pokoleniem mężczyzn ujawniało się szczególniej podczas zbiegowisk, na które ściągały gromadki, koczujące w obrębie pewnego terytoryum. W rodzimej gromadzie natręctwo malca mogło być tolerowane lub systematycznie odtrącane, może nawet musiał on tułać się w pewnej odległości od starszych, ale bądź co bądź rzecz odbywała się w sposób łagodny. Umizgi jego w okresie zborów zwracały się do rówieśniczek zpośród innych gromad, rówieśników zaś do sióstr jego. Powstawała pomiędzy młodzieńcami solidarność: samczyk, który skutkiem namacalnych a dotkliwych przestróg oduczył się spoglądać pożądliwem okiem na młode kobiety własnej gromady, mógł pomagać swemu rowieśnikowi zbliżyć się do nich. Tolerowany ułatwiał drogę nietolerowanemu, podczas wybuchu namiętności okazywał mu pomoc itd., jak to przedstawiają pewne ustępy symbolizmu dramatycznego obrzędu wtajemniczania. W tej wzajemności usług pomiędzy rówieśnikami mielibyśmy może początek zaprzestania stosunków małżeńskich śród rodzeństwa, co Morgan także wyprowadza z działania woli plemiennej, świadomej fatalnych skutków takiego obcowania.

Wracamy jednak do przerwanego wątku. Nadmieniliśmy, że są w życiu gromadnem plemion australskich objawy, pokrewne wydzieleniu młodego pokolenia obu płci w trzodach guanaków. Mówiąc to, mieliśmy na myśli takie zwyczaje, jak istniejący chociażby u Narinyjerów: młodzież męska, podlegająca wtajemniczaniu, obozuje samotnie, wyrzucona ze społeczeństwa, atoli mają do niej dostęp młode, niezamężne dziewczęta. Panuje swawola, która dla pojedynczych członków kończy się, gdy któryś zawiera związek małżeński trwały, odznaczający się w wymienionem plemieniu czystością obyczajów. U Andamańczyków, innego szczepu dzikiego, obóz nawet swojem ukształtowaniem przedstawia wyraźny obraz wydzielania się młodego pokolenia. Stadła małżeńskie żyją w oddzielnych szałasach, tymczasem młodzież płci męskiej zajmuje pewną przestrzeń tylko dla siebie, oraz w tem samem położeniu są dziewczęta. Stosunki to dość odmienne od australskich, gdzie tylko chłopcy obozują zdala od plemienia.

Zwyczaje, właściwe obozowi australskiemu, są punktem wyjścia dla instytucyi, która szeroko rozsiadła się na globie śród szczepów barbarzyńskich, a która polega na wyodrębnieniu chłopców i dziewcząt z pośród społeczeństwa i daniu im zupełnej swobody, póki nie nastąpi chwila zawarcia indywidualnego związku małżeńskiego. Wszerz i wzdłuż półwyspu indochińskiego, u górali Indyj Przedgangesowych, na łańcuchu wysp, które ciągną się od Malakki, w Polinezyi, tu i owdzie w Afryce i w Ameryce wyrostki i młodzieńcy są zorganizowani w szczególne oddziały, żyją odrębnie od reszty społeczeństwa w olbrzymiej komunie. Dziewczęta posiadają często pokrewną organizacyę i po za ogniskiem ojców zamieszkują własny budynek. Stosunki miłosne są niczem nieograniczone i dopiero gdy para pewna upodoba siebie nawzajem i postanawia związać się ślubem, wtedy opuszcza takie życie, pełne swawoli i zabawy i osiedla się we własnym domu. Tego rodzaju ustawa społeczna otrzymała u Masajów (wschodnia Afryka) bardzo znamienne ukształtowanie. Chłopcy i dziewczęta około dwunastego roku życia opuszczają dom rodzicielski i przebywają pospołu w tym samym obozie: mężczyźni pasą bydło i urządzają wyprawy wojenne, dziewczyny gospodarzą. Zostawiono młodzieży nieograniczoną swobodę, z której ona korzysta gorliwie: żywi się ona mięsem i mlekiem, ale nie wolno dotknąć jej narkotyków, ani pokarmów roślinnych. Masajczyk spędza wiek młody w takim obozie, ochraniającym plemię. Gdy siły fizyczne go opuszczają, odkłada na obok oręż i tarczę, przywdziewa na miesiąc ubiór niewiasty i poślubia kobietę jakąś, ażeby pozostawić potomstwo. Nie uczestniczy już więcej w wyprawach wojennych, spożywa pokarmy roślinne. Życie takie uchodzi za niższe, poniekąd za rodzaj emerytury dla inwalidów obozu kawalerskiego, który jest pełen zabawy, rozpusty i animuszu wojennego. Tak się dzieje nietylko u Masajów. Wszędzie, gdziekolwiek istnieją obozy lub kluby, organizujące przedstawicieli obu płci, oddzielenie młodszego pokolenia od starszego jest wyraźne, a chociaż nie zawsze przybiera ono tak jaskrawy charakter, jak u tego ludu afrykańskiego, przecież jest dostatecznie głębokie i wyraźne. Stadło małżeństwa wraz ze swojemi ograniczeniami i zapowiedziami zjawia się tam jako wynik upadku sił żywotnych, gdy plemieniec wymaga życia mniej nużącego i swawolnego.

Przyjrzeliśmy się paru ustawom społecznym, odznaczającym się dążnością do wydzielenia młodzieży z pośród społeczeństwa. U Andamańczyków, oraz u barbarzyńców półwyspu Indochińskiego sprawa odbywa się bez obrzędów krwawego charakteru. Tymczasem w Australii i u niektórych ludów Afryki, jako to: Kafrów, Czuanów i in. towarzyszą temu praktyki, będące według nas przeżytkiem antagonizmu pomiędzy starszem a młodszem pokoleniem mężczyzn. Nieobecność takich rysów okrucieństwa w obrzędzie wtajemniczenia u niektórych szczepów może jest wynikiem rozwoju historycznego, który złagodził pierwotną dzikość. Ale nie wykluczona jest także inna alternatywa, mianowicie, że było tak zawsze. Gromady pradzikie, chociaż wszędzie istniało rozpatrzone współzawodnictwo, mogły przedstawiać całą mozajkę odmiennych zwyczajów: w jednych dochodziło do silniejszych wybuchów namiętności, w innych instynkty walczyły nie tak zapamiętale. Powody były może natury rzeczowej, tj. zewnętrznej, np. stosunek ilościowy obu płci korzystny dla mężczyzn, wymieranie dojrzałego pokolenia męskiego przez wojny itd. Może oddziaływały też czynniki psychiczne, chociażby charakter flegmatyczny plemieńców. W każdym jednak razie wydzielenie następowało, przyczem po za gromadą dawną tworzyła się inna, młodsza. Wspólność pochodzenia trzymała je w pobliżu, z czasem gdy przedawnienie uświęciło prawa młodzieży, zawiązywały się bliższe stosunki pomiędzy ojcami a synami i powstawała najpierwsza forma organizacyi społecznej — na generacye, właściwa jeszcze dzisiaj plemieniu australskiemu.

L. Krzywicki.

LITERATURA I SZTUKA.

Zygmunt Kaczkowski

(WSPOMNIENIE POZGONNE).

To on jeszcze żył?! — zapytał może niejeden i niejedna z wypożyczających książki w czytelni. A wolno było ogółowi nie wiedzieć o tem, jeżeli prasa, czujnie i szybko chwytająca wszelkie nowiny, dowiedziała się o śmierci Kaczkowskiego — po pogrzebie. Na ten mrok, otaczający znakomitego pisarza w ostatnich latach jego życia, złożyło się wiele przyczyn. Naprzód jego dawne i dalekie usunięcie się od kraju, oraz rzadkie i nieliczne stosunki z rodakami; powtóre przeniesienie punktu ciężkości swych działań z literatury w dziedzinę spekulacyj finansowych, wreszcie nowe bogi powieściopisarstwa, które wygnały kult dawnych, nowe poglądy i zagadnienia, których stary szermierz ani odczuć, ani zrozumieć nie mógł. Stał on się dla swoich obcym fizycznie i duchowo, a jeżeli nawet

czasem odezwał się o sprawach społecznych, jak w „Tece Nieczui" lub przysłał nowy utwór („Graf Rak," „Abraham Kitaj," „Olbrachtowi rycerze"), nie sprawiał wrażenia, gdyż jego pomysły i wywody trąciły myszką, a jego środki artystyczne nie mogły się mierzyć z artyzmem koryfeuszów młodego pokolenia. Wyglądał on wtedy jak odpoczywający w ustroniu wiarus, który widząc przechodzące koło niego kolumny młodszych żołnierzy, zatrzymywał je, dawał im przestrogi i rady, a oni wysłuchawszy go z szacunkiem, pomaszerowali według innej komendy i walczyli według innej taktyki. Tego rodzaju pojawiania się i znikania w literaturze starych pisarzów są niby ukazywaniem się duchów na „seance'ach" spirytystycznych: sprawiają one nieraz efekt, są przez pewien czas przedmiotem rozmów, ale na bieg życia nie wywierają wpływu. Kaczkowski nie mógł nawet podtrzymywać swego rozgłosu między ziomkami jako szczęśliwy spekulant, gdyż w świecie giełdy występował pod nazwą „Pomiana," a jego pseudonymowe powodzenie na tem polu tak było u nas nieznane, że teraz dopiero dowiedziano się o jego uczestnictwie w spłaceniu długu wojennego przez Francuzów Prusakom.

Do tego własnowolnego wyosobnienia się dopomogło Kaczkowskiemu również społeczeństwo. Jeżeli wiele narodów między swemi cnotami umieszcza i tę, że umieją czcić swoich wielkich ludzi, to my nią chwalić się nie mamy prawa. Do nas można z całą słusznością zastosować przysłowie, wynalezione dla płochych kobiet: „co z oczu — to z myśli." Słomiany nasz zapał wybucha ogniem łatwo, ale gaśnie szybko. W naszą miękką, zmienną i ruchliwą naturę zachwyt wpada głęboko, ale nie utrzymuje się w niej długo. Uczucia nasze mają dziwnie krótką pamięć. Dopóki bohater na scenie, nie przestajemy go oklaskiwać; skoro tylko wyjdzie za kulisy i przywołany kilkakrotnie ukłoni się, zapominamy o nim. Nadto my nie umiemy zdobyć się na żadną wyrozumiałość względem wielkich ludzi. Nie dość nam tego, że oni są takimi, jakimi są, żądamy jeszcze, ażeby oni byli koniecznie podobnymi do nas. Korzystając z ich wyjątkowości, narzucamy im powszedniość. Każdy z nich musi być jednocześnie niezwyczajnym, ażeby nas zachwycał swym geniuszem, i zwyczajnym, ażeby nas nie raził. Powiadamy do niego: chwalimy cię za to, żeś utalentowanym poetą, gruntownym uczonym, głębokim filozofem, ale dla zupełnego podobania się nam musisz nosić taki kapelusz, jaki my nosimy, miłować małżonkę, jak my miłujemy, ucierać nosy dzieciom, jak my ucieramy, jeść na Wielkanoc szynkę z jajkiem, jak my jemy. Jeżeli tym warunkom nie czyni zadość, zapomniawszy o jego wartości, gotowiśmy mu odmówić wszelkiej. Górnik ceni rudę złotą, choć w niej szlachetny kruszec pomieszany jest z pośledniemi przymieszkami; my pragnęlibyśmy dobywać złoto w oprawie broszek i spinek.

Bywa to dość częstą właściwością wielkich ludzi, że oni nie posiadają przyciągających zalet: są odludkami, dziwakami, miewają rozmaite kaprysy i słabości odstręczające w stosunkach prywatnych. Ale czyż mizantropia Schopenhauera, zarozumiałość Słowackiego, opryskliwość Beethovena, czułostkowość Chopina, skąpstwo Kanta — czy te ułomności powinny mieć jakąkolwiek wagę wobec potęgi umysłu tych geniuszów? Kaczkowski był także samolubem, ambitnym, próżnym, ale zasłużył na to, ażeby nietylko mu to wybaczyć, lecz nawet otoczyć go sympatyą. Tymczasem gdy on się usunął, machnięto za nim ręką i szykanowano go opowieściami, jak opuścił literaturę dla giełdy i szwindlami zdobywa majątek. Zapewne, autor „Murdeliona" w roli spekulanta giełdowego nie przedstawia wspaniałego widoku, ale przecież darowano Byronowi to, że pod koniec życia największą uczuwał rozkosz, zanurzywszy ręce w kupach dukatów.

Zresztą ostatni akt w życiu Kaczkowskiego nie był przełomem, ale dalszym ciągiem poprzednich. Pomimo pięknych obrazów powieściowych, nie można go nazwać poetą, ale raczej bystrym spostrzegaczem i trzeźwym rezonerem. Wyjąwszy bardzo krótką epokę (przed r. 1846) płomieni demokratycznych, które w jego duszy nie pozostawiły żaru, tylko nieco czadu, przez całą dojrzałość duchową przyświeca mu spokojny, jasny rozum, obdarzony smakiem artystycznym, ale panujący nad nim ciągle. Ponieważ w przeszłości naszej narodem była szlachta, więc wytworzył się u nas swoisty gatunek umysłów, sklejonych ze sprzeczności. Należał do nich Kaczkowski, który był talentem nawskroś polskim. Demokrata, ale szlachecki, liberał, ale religijny, tolerant, ale z upodobaniami kastowości, radykał, ale wróg wszelkiej rewolucyi. Czując w sobie soki pnia, z którego wyrósł, wierzył tylko w owoce tych płonek, które na tym pniu są zaszczepione. Krótka gorączka chłopomańska przeminęła w nim, jak uleczona choroba, a późniejsze łaski dla mieszczan rozdawał jako wspaniałomyślną jałmużnę. W gruncie rzeczy pozostał szlachcicem, „umiarkowanym konserwatystą," a z równą racyą możnaby go nazwać umiarkowanym liberałem. „Chłodny i rozważny we wszystkich innych kwestyach — mówi o nim (*Nasi powieściopisarze*, I) P. Chmielowski — wybuchał gniewem niepohamowanym przez usta dodatnich swoich figur, ilekroć przyszło mu mówić o działaniu propagandy demokratycznej. Nie było ani jednego słowa oburzenia, któremby nie napiętnował postępowania demokratów czy demagogów... Zbyt surowy dla biedaków, pracujących o chłodzie i głodzie gdzieś na poddaszach, był zbyt pobłażliwym dla tych, co w złotych pałacach, w paryskich hotelach, w rzymskich willach lub na pokojach królów i książąt gnuśne pędzili życie." Słowem, był szlachcicem... „mądrym po szkodzie."

Nie znam w literaturze naszej rodzaju bardziej swojskiego, niż ta jej postać, którą nazywamy *gawędą*. Najznakomitsze, a w każdym razie najpopularniejsze utwory beletrystyki naszej należą do tego działu. Gawędami są poematy Mickiewicza, Pola, Syrokomli i innych, gawędami powieści Rzewuskiego, Kraszewskiego, Korzeniowskiego, Jeża, Sienkiewicza, gawędy również pisał Kaczkowski. Rodzaj ten nie wymaga kunsztowności w budowie, wytworności w stylu, treściwości w przedstawieniu, błyskotliwości w dyalogu, ostrości w dowcipie, przeciwnie, pozwala na rozwlekłość, prostotę, nawet zaniedbanie. Artyzm zamyka się tu w żywości i obrazowości opowiadania, których wyższy lub niższy stopień określa wartość utworu. Wiktor Hugo nie napisałby nigdy, jak Mickiewicz:

(wichry) świszczącymi koły
Krążą po *stawach*, mącą do dna wody w *stawach* —

a Balzac nigdy, jak Sienkiewicz: „kijemem go uderzył." Gawęda nie jest tak surową i wymagającą, ażeby miała karcić takie usterki, ona nawet czułaby się skrępowaną, sztywną, gdyby miała pamiętać o staranności i elegancyi wysłowienia.

Kaczkowski był w całem znaczeniu tego wyrazu gawędziarzem. Planu powieści nie obmyślał, miary w jego częściach nie zachowywał, wątek opowiadania przerywał ciągle długiemi rozprawami, najważniejsze sceny wkładał w usta swych bohaterów, o których nieraz zapominał i dopiero później ich wprowadzał.

Właściwość ta uwydatniła się szczególnie w drugim okresie jego twórczości. W pierwszych, pod imieniem Nieczui, obrazował życie i charaktery wieku XVIII z niewątpliwym artyzmem, polegającym głównie na skupianiu rysów znamiennych; natomiast w drugim między nielicznemi scenami perorował długo i szeroko o rozmaitych przedmiotach, które mu się nastręczały w osnowie opowiadania, zawsze bardziej zajęty zewnętrzną stroną ludzi i czynów, niż ich wewnętrznemi sprężynami i pobudkami *). Żaden psycholog, ale doskonały malarz; żaden filozof, ale serdeczny moralista, który się nie przechylał ku krańcom, krocząc wąziutką linią złotego środka. Mówiąc o stronnictwach, przyznawał wartość skrajnym, a odmawiał jej pośrednim, a sam był wzorem dobrze ustosunkowanego w swych składowych częściach mieszańca.

W swoim czasie czytany, uwielbiany, czarujący społeczeństwo swym talentem i przekonaniami, oddziaływał na nie długo i głęboko. Ale po za tem znaczeniem historycznem, jakież posiada on dla dzisiejszej doby? Naturalnie daleko mniejsze. Wytworzyły się nowe stosunki, których już przeniknąć i ocenić nie umiał, powstały pojęcia, zasady i teorye, które nie mieściły się w kategorye jego myślenia, wystąpili ludzie, którzy go przewyższyli jeśli nie większemi, to bardziej do teraźniejszości dopasowanemi siłami, objawiły się wymagania artystyczne, którym on odpowiedzieć nie mógł. Wszakże dotąd i długo jeszcze niektóre powieści jego będą miały czytelników jako barwne obrazy historyczne i jako wiązanki przedmiotów godnych uwagi i zastanowienia.

Umarł w Paryżu jako 70-letni starzec i posiadacz milionowego majątku, z którego ani okruszyny nie oddzielił dla swego społeczeństwa, lecz całkowicie zapisał go żonie — Francuzce. W umyśle konających zmartwychwstają zwykle uczucia młodości; w Kaczkowskim nie objawiło się najlżejsze tego rodzaju drgnienie. Ostatniemi jego słowami były: *a Montmorency*. Tam go też pochowano w obecności sześciu Polaków.

A. S.

LAUS VENERIS.

(Dokończenie).

Chryzis zrazu uważa żądania te za śmieszną pretensyę, o której myśleć nawet nie warto. Nad ranem jednak ulega potędze tajnej, która ją z woli Afrodyty, jak przedtem Demetriusa, zmusza do brnięcia dalej i dalej w raz obranym kierunku. Chryzis bieży do kryjówki, którą jej wskazał Demetrius i ubiera się w straszliwe klejnoty. W południe na krużgankach majaku aleksandryjskiego ukazała się ludowi postać kobieca — niedościgle piękna w nagości, przykrytej falą złotych włosów, w których wpięty był grzebień arcypasterki. Lud zrazu uwierzył, że to sama Afrodyta objawiła się mu. Poznano jednak niebawem zalotnicę Chryzis, mającą na szyi skra-

*) Nie mogąc tu szczegółowo przedstawić treści, a tem mniej rozbierać utworów Kaczkowskiego, odsyłamy ciekawych do prac Korotyńskiego i Chmielowskiego, ograniczając się tylko na spisie bibliograficznym ważniejszych: „Bitwa o Chorążankę" (1851), „Kasztelanice Lubaczewscy" (1852), „Murdelio" (1853), „Bracia ślubni" (1854), „Dziwożona," „Mąż szalony," „Gniazdo Nieczujów," „Wnuczęta" (1855), „Stach z Kępy" (1856), „Bajronista" (1857), „Annuncyata," „Grób Nieczui," „Starosta Hołobucki" (1858), „Sodalis Marianus" (1859), „Rozbitek" (1861), „Żydowscy" (1872), „Graf Rak" (1879), „Abraham Kitaj" (1886), „Olbrachtowi rycerze" (1889). Zbiorowe wydanie w r. 1874.

dziony świętokradczą ręką naszyjnik bogini, w ręku zaś lustro, za którego kradzież kurtyzana Rodopis ukrzyżowała najulubieńszą swoją niewolnicę...

..Wieczorem tegoż dnia w więzieniu królowej oczekiwała Chryzis wyroku śmierci, nie myśląc prawie o Demetriusie, dla którego przecież spełniła ofiarę. Przyszedł jednak przedtem, nim straż więzienna przyniosła cykutę. I znowu chciała się rzucić ku niemu, lecz cofnęła się, widząc zupełny spokój rysów Demetriusa, opartego o drzwi, jak się opiera widz obojętny przed rozpoczęciem widowiska. I pozostali milczący, oddzieleni od siebie, każde z rojem myśli własnych, aż do chwili, kiedy wszedł dozorca, niosący napój. I jeszcze raz Chryzis, upiwszy pół czary, zwróciła się do Demetriusa, podając mu, jak to widziała w teatrach, drugą połowę trucizny. Ale dla Demetriusa cały ten epizod był już oddawna ubiegłym kaprysem. Chryzis sama wypiła resztę cykuty, uśmiechnąwszy się pogardliwie, czego zresztą Demetrius nie widział... Śmierć jej nie była ciężka, ani przewlekła i Demetrius mógł ten boski kształt odtworzyć później w marmurze, co go przez długi czas pochłonęło i uchroniło od nieznośnych udręczeń nudy...

Oto bajka utworu. Że ta opowieść jest symbolem, to się czuje w każdym jej ustępie. Jest symbolem niedościgłych pragnień miłości, w których dwoje napróżno sili się przeniknąć siebie wzajemnie, gdyż przenikają zawsze tylko każde siebie samego. Jest symbolem, zrozumiałym zwłaszcza na podkładzie sensualizmu, nigdy nienasycającego się rzeczywistością, a zawsze żądającego od rzeczywistości, za wszelką cenę, tych uniesień, które znaleźć można tylko w halucynacyi i ekstazie. Jest wreszcie symbolem (może) przemijającej i nieważnej treści życia zmysłowego, które jednak, jak klątwa Astarty, zakreśla koło, po za które duch wyrwać się nie może. Ale jakiekolwiekbądź znaczenie symboliczne nada czytelnik tej bajce, jest ona dla autora przedewszystkiem pretekstem do odtworzenia *in extenso* kilku dni życia aleksandryjskiego.

Więc przedewszystkiem mamy wnętrze domu zalotnicy Chryzis ze wszystkiem, co zawiera. Dalej urocze sceny wieczorne w porcie i szereg postaci znanych już nam z dyalogów Lucyana: Myrtis i Bauchis i Filinę i Korynnę i Melissę. Możnaby nawet powiedzieć, że dyalogi cynika służyły poniekąd za kanwę dla autora — zwłaszcza kiedy wprowadza nas w księdze drugiej do ogrodów bogini Afrodyty-Astarty. Dalej znowu obraz uczty w Bacchis, rozpoczętej wśród kwiatów i muzyki fletnistów, a zakończonej potworną sceną ukrzyżowania niewolnicy. Tu znów ćwiczą się przed czytelnikiem w lekkiej filozofii, towarzyszącej biesiadom, Naucratos i Frazilos i Tymon...

III

Przed laty Juliusz Lemaitre określił neo-helenizm (z powodu powieści Julii Lamber) w sposób następujący: „Koniec końcem w helenizmie człowiek współczesny zawiera dziś swe marzenie o życiu naturalnem i szczęśliwem, poświęconem miłości i poszukiwaniom piękna zwłaszcza plastycznego, a wyzutem z wszelkiej troski o rzeczy pozaziemskie.“ Określenie to, jakkolwiek pociągające wielce, niestety nie da się zastosować do najnowszej fazy neo-helenizmu w literaturze francuskiej. Zresztą sam Lemaitre zastrzegał się, że pod wspólnem mianem helenizmu każdy rozumie co innego: w kształt grecki lub za grecki uważany wciela człowiek współczesny najistotniejszą cząstkę własnej istoty. Wskutek tego miewamy w helenistach raz „epikurejczyków z wyobraźnią chrześciańską,“ jak Chateaubriand, to znowu sceptyków, jak Renan, którzy czczą Grecyę o tyle, o ile „czoło Pallas-Ateny rozszerzył przebieg późniejszych doświadczeń.“ Czasem jest to istotnie pogańska, ziemska dusza, nurzająca się w Grecyi zmysłowego piękna, czasem znów dusza nawskróś przepojona zwątpieniem, dla której Grecya jest tylko nową sposobnością zwątpień. I jedni czczą w Grecyi Platona, inni zdrowie Homera, inni jeszcze zepsucie Koryntu, a inni rocznicę Termopilów..

Znamiennem jest bardzo, że młoda literatura francuska sięga częściej może do kolonij greckich, niż do samej Grecyi. Chętnie młodzi autorowie żyją w czasach, kiedy Egipt i Syrya i wszystkie wpływy Wschodu splotły się w przedziwnym eklektyzmie życia aleksandryjskiego — lubią również Bizancyum. Ich Grecya ma w sobie bardzo mało owego majestatu spokojnej pogody oraz owej prostoty, po której rozpoznać było można Grecyę dawnych pokoleń. Ich ciekawość nie zatrzymuje się wobec bardzo ludzkich bogów Olimpu, lecz przenika do krwawej i mroźnej głębi labiryntu Astarty. Najmniej w tych greckich niby reminiscencyach Pallas-Ateny, najwięcej Afrodyty. Jest to prawdziwie adoracya, kult jej — nieustająca *Laus Veneris*, którego treść rozczochraną, mistyczną, jakby zmąconą, znajdujemy już w słynnej pieśni Swinburne'a. Jak ongi Ptolomeusze, pragnąc zhelenizować Wschód, doprowadzili do zoryentalizowania Hellady — podobnie ta młoda literatura, czerpiąc swe pierwiastki w świecie starożytnym, nie tyle sama się krystalizuje w formy im właściwe, ile pierwiastki owe przerabia, powiedzieć czasem można — wynaturza. To też Venus jej nawet nie jest to bogini piękna plastycznego i elementarnych upojeń ciała — jest ona, jak w Astartejonie aleksandryjskim, po kolei Astartą, Ischar, Cyprydą, Melittą i nosi piętno nieznanych Venus greckiej okrucieństw, tęsknot, tajemnic i porywów. Napróżno więc młody autor chce ujść „czarnym tłumom, krążącym po mrocznych zaułkach życia współczesnego“ — mrok go porywa i w świątyni greckiej. Widma zwątpień i tęsknot mało znanych czcicielom „piękna plastycznego“ samo wyżłobiły „zaułki mroczne“ w jego własnej duszy i krążą po nich nawet wtedy, kiedy mu się zdaje, że cały gorcje hymnem do Venus...

Tak się przedstawia dzisiejszy waryant *Laus Veneris*. To nie przeszkadza, że forma jego bywa chwilami iście klasycznie piękną — w kształcie, w kolorycie, w języku, w kompozycyi. Tu znać obcowanie z niepokalanemi źródłami piękna starożytnego. Tak samo, jak w symbolach, przezierających z po za tych kryształów jasnych obrazów i w niepokoju duszy w nich utajonym, znać nurt owych „wpływów północnych,“ którym złorzeczy autor, czytając Wagnera.

Jerzy Grot.

POEZYE.

NOCĄ LETNIĄ.

Ponuro lśnią gwiazdy i ciemno
Tą nocą.
Skrzydłami gdzieś ptaki nade mną
Łopocą.

Wybujał jabłoni nad miedzą
Pień długi.
Wraziwszy się ziemi w pierś, siedzą
Dwa pługi.

Owiana tchem łąk w aureoli
Księżyca,
Wystrzela w przestrzenie z topoli
Ulica,

Przewija się wietrzyk po łanie
Przez ciszę,
I gniazdo na drzewie bocianie
Kołysze.

I spada lubieżnie na zioła
I drzewa
I włosy wilgotne mi z czoła
Rozwiewa.

Migają światełka, jak tęcze,
Przezrocze,
Na oczy spadają pajęcze
Warkocze.

A oto muśnięciem współżywem
Tęsknota
Rój myśli tajemnem ogniwem
Snów mota.

Hej nocy! bogini ty cicha
Marzenia!
Ty sączysz mi gorycz z kielicha
Wspomnienia!

Hej, ziemio, tysiącznym rozgwarem
Dysząca,
Pod wiatru oddechem, pod czarem
Miesiąca!

Hej, orna ziemico, macierzy
Boleści!
Co pierś twa pod szatą puklerzy
Swych mieści?

Ty nocą srebrzystą wesoła,
Jak piosnka,
Promienna czystością anioła
Pierwiosnka.

Choć kwiaty się wieńcem na skronie
Ci kładą,
Masz jednak coś w sobie, co wionie
Zagładą...

. . . .

Ot w uszach mi suchy głos dzwoni
Derkacza...
Mnie granie palących twych woni
Przytłacza...

Ot słyszę rozmowę z nad strzechy
Żorawią...
Mnie szczerpią dziś twoje oddechy
I dławią!..

. . . .

Bądź nocy z twym dusznym urokiem
Przeklęta!..

. . . .

Władysław Sterling.

SPRAWY EKONOMICZNE.

WYSTAWA W NIŻSZYM NOWOGRODZIE.

II.

Udział największy wzięła oczywiście Łódź i zwróciła na siebie uwagę nietylko bogactwem swych okazów, lecz i efektami dekoracyjnymi. Jedna np. z fabryk, nie poprzestając na wykwintnej witrynie, umieściła w niej swą podobiznę zdrobnioną, model wybornie, niemal artystycznie wykonany i oświetlony elektrycznością. Oprócz przędzalnictwa i tkactwa łódzkiego, znalazł się także zawiązek tkactwa z Warszawy— zapowiedź nowego ogniska tej gałęzi przemysłu. Metalurgia, górnictwo, hutnictwo i garbarstwo — wszystkie te działy produkcyi wielkiej z Królestwa Polskiego, z najwybitniejszymi przedstawicielami na czele, odznaczyły się zarówno cechą wy-

robów, rozmiarami, jak i rozwojem tych przedsiębiorstw przemysłowych. Oprócz Łodzi, Zgierz, Pabjanice, Sosnowice, Dąbrowa i Warszawa wogóle najliczniejszych dostarczyła eksponentów. Jedni umieścili się we wspólnej witrynie, inni — najwięksi, wybudowali własne hale, ustawili tam swoje piece i kotły — olbrzymy, buchające ogniem i parą. Wyroby, wchodzące w zakres całych urządzeń fabrycznych, jak gorzelni, cukrowni, stacyj elektrycznych, przeróżne maszyny i narzędzia itd. dopełniają dział produkcyi wielkiej. Tem się głównie zaznaczyło Królestwo Polskie. Dostarczyło ono także sporo narzędzi rolniczych, mianowicie fabryki z Łodzi, Lublina, Płocka. Przeglądając tę wielką moc przedmiotów i porównywając je z wyrobami innych fabryk, rozrzuconych po całem państwie, można przyjść do ciekawych wniosków i ocenić, o ile fabrykacya tych środków uprawy zgodna jest z potrzebami rolnictwa. Fabryki w Królestwie wyrabiają dużo pługów, względnie niedrogich, zastosowanych do gruntu lekkiego (np. lubelska od 7 rs. 50 kop. — pług lubelski z regulatorem, do 48 rs. — czterolemieszowy systemu Beermanna, cały z żelaza kutego i stali). Natomiast spostrzegamy u nas brak zarówno pługów, jak i innych narzędzi zastosowanych pod względem ceny i stanu kultury do gospodarki chłopskiej, gdy tymczasem w Cesarstwie nietylko większe fabryki narzędzi uwzględniają tę gospodarkę, ale nawet sami włościanie wyrabiają je w różnych miejscowościach i sprzedają bardzo tanio, np. po rs. 3 za sztukę. To też śród ludu tamtejszego względnie udoskonalone narzędzia rolnicze więcej niż u nas są w użyciu, a we wsiach częściej można spotkać fachowców, obeznanych z mechanizmem przedmiotów, używanych przy uprawie ziemi.

W dziale drobnych wyrobów fabrycznych znaleźliśmy dosyć dużo naszych wystawców. Lampy, noże, zamki, przedmioty przemysłu artystycznego, ozdoby salonowe z bronzu, beczki, wiadra dębowe, z zachowaniem wymagań estetycznych, wagi, zegary ścienne i wiele innych przedmiotów z produkcyi Królestwa Polskiego można tu łatwo znaleźć. Na szczególną zaś uwagę zasługują meble gięte, przewyższające gustownością i dobrocią wszelkie inne. Wyrób ich głównie się skupił w Warszawie i g. Piotrkowskiej. Produkcya dwu fabryk warszawskich, należących do jednego towarzystwa akcyjnego, wynosi około 360,000 rs. rocznie. Meble zaś wytworne i inkrustowane są wyrabiane przeważnie w Petersburgu i po części w Moskwie. W ostatnich czasach zwiększyła się produkcya mebli prostych, przystępnych dla ludności niezamożnej, powstały nowe fabryki na wielką skalę: mebli giętych, fornierów do krzeseł, ławek do wagonów kolejowych itd. — w Noworadomsku, gub. Piotrkowskiej, i w Rewlu.

Tapicerzy nasi nie wykazali na wystawie stanu produkcyi swojej, ale za to ich współzawodnicy, głównie z Petersburga, mogliby naszych nauczyć, w jaki sposób budować należy trwałe podstawy ekonomiczne. Pracują oni siłami połączonemi, w artelach, a sztuki pojedyncze, wykonane przez wielu majstrów i czeladników, imiennie wykazanych, dają pojęcie o stopniu uzdolnień tych fachowców. Dzięki pracy wytwórczej, zorganizowanej w ten sposób, produkcya ich ciągle wzrasta, zdobywa rynki i zaufanie konsumentów. To samo można powiedzieć i o szewcach. Tylko fabryki mechaniczne i więksi wytwórcy z Cesarstwa wzięli udział w wystawie. Z gub. Królestwa Polskiego jest zaledwie paru, skromnie ukrytych. A przecież szewcy nasi ciągle marzą o zdobyciu rynków dalszych i pomimo swego niedołęstwa, pomimo podkopywania ich sławy przez spekulantów, rozrzucających wszędzie tandetę — „obuwie warszawskie," zdobyli oni uznanie zarówno dobrocią wyrobów, jak i względną tanością. Wystawa w Niższym Nowogrodzie była wyborną sposobnością do zawiązania trwałych i korzystnych stosunków z rynkami dalekimi, zwłaszcza, że jednocześnie odbywał się jarmark doroczny, ściągający kupców z najodleglejszych krańców północy i wschodu. Nie pomyśleli o tym udziale wogóle nasi drobni wytwórcy, pomimo, że rozprawiali o tem szeroko na posiedzeniach sekcyi rzemieślniczej.

W związku z szewctwem znaleźliśmy na wystawie szpilki drewniane, które jednak, wystawiono dorywczo, nie dają pojęcia o tej gałęzi produkcyi u nas, a co najważniejsza, nie pochodzą z Królestwa, pomimo że ono jest głównem ogniskiem, gdyż roczna produkcya gwoździ drewnianych u nas jest obliczaną na 400 tysięcy rs. Główne ogniska wyrobu grzebieni i guzików rogowych mieszczą się w Warszawie i Moskwie; a jednak i tutaj nasi wytwórcy nie popisali się w ten sposób, ażeby na nich uwagę zwrócono.

Przemysł drobny włościański, który na wystawie osobny pawilon zajął, nasuwa dużo rozmyślań, wynikających z porównania pracy produkcyjnej ludu w różnych dzielnicach państwa. Chłop z nad Wisły nie wziął udziału, bo po pierwsze nie miał czem się popisać, powtóre — chociażby znalazł ciekawe okazy swego rękodzielnictwa, nie miał pośrednika, któryby mu to ułatwił, pomimo że w Towarzystwie przemysłu i handlu istnieje osobna sekcya, mająca na celu rozwój przemysłu drobnego śród ludu.

Oddział powyższy daje wyborne pojęcie o pracy wielkich mas ludności, pokazuje poważne odłamy dobrze zorganizowanej produkcyi, zwłaszcza w gałęziach stolarsko-ciesielskiej, bednarskiej, kołodziejskiej, tkackiej, rymarskiej, ślusarskiej, kowalskiej itd. Są tu niezmiernie ciekawe zarówno same rezultaty produkcyi, jak i środki jej rozwoju. Przedmiot ten ma doniosłe, ogólne znaczenie, więc go nie możemy zbyć w pobieżnym przeglądzie wystawy. Wkrótce poświęcimy mu osobny artykuł, w którym postaramy się scharakteryzować w przybliżeniu produkcyjność pracy chłopa polskiego.

W dziale ogrodnictwa znaleźliśmy jedynego p. Zawadę z Częstochowy. Inni, najwybitniejsi, nie wzięli udziału. Może te stanęły na przeszkodzie trudności dostawy i utrzymania okazów przez parę miesięcy; ale jeżeli takie tylko powody ogrodnicy nasi mają na swoje usprawiedliwienie, to cóż im powiedzieliby eksponenci z Petersburga, Krymu, Kaukazu?

W dziale przemysłu fabrycznego, zajmującego osobną halę, znaleźliśmy kilka fabryk papieru z gubernij Królestwa Polskiego. W bardzo bogatym kolejowym Wiedeńska popisała się swoją techniką, wystawiła model urządzenia, centralizującego zwrotnice, tudzież warsztatów, które mają być wybudowane na wielką skalę w Pruszkowie (praca inż. Zborowskiego), wreszcie projekt ich oświetlenia i przesyłania na stacyę siły elektrycznej.

W dziale dróg szosowych znajdujemy materyały budowlane, między innemi cement z Królestwa Polskiego, a w planach, modelach i sprawozdaniach scharakteryzowany stan dróg gruntowych i mostów. Z danych urzędowych widzimy, żestosunkowo najlepsza jest komunikacya kołowa w gub. Królestwa Polskiego i na Kaukazie W pierwszych ogólna długość dróg szosowych wynosi 5,885 wiorst, czyli około 27,6% długości w całem Państwie. W tym samym oddziale umieszczono różne systemy bruków, dające pojęcie o postępach techniki w tej mierze. Diagramy np. wykazują, że pod względem długości ulic brukowanych w podziale na gubernie pierwsze miejsce zajmują gub. Płocka i Łomżyńska. Moskiewska stoi na piątem miejscu, Petersburska na siódmem. W stosunku do miast osobnych największy procent ulic brukowanych posiadają: Petersburg, Płock, Łomża i Ryga. Tak twierdzi statystyka. Daje ona także ciekawe dane o stanie i rozwoju komunikacyi tramwajowej w miastach.

Z wykazów tych widzimy, że siła pociągowa konna stopniowo acz powoli znika, a jej miejsce zajmują motory parowe lub elektryczne. Jeszcze przed czternastu laty komunikacya tego rodzaju istniała tylko w Petersburgu, Moskwie, Odesie, Warszawie i Kazaniu i wynosiła ogółem przeszło 286 wiorst. W ostatnich czasach tramwaje powstały jeszcze w czternastu miastach; ogólna długość ich linij wynosi 552¼ wiorsty, w tej liczbie konnych i parowych 507, elektrycznych 45¼ w. Zatem w ciągu czternastolecia ogólna sieć tramwajowa wzrosła o 90%. W stosunku atoli do innych państw jest to jeszcze postęp bardzo skromny. Np. w Stanach Zjednoczonych Ameryki północnej w r. 1894 istniało 1,155 towarzystw akcyjnych, eksploatujących 18,710 kilometrów dróg tramwajowych, w tej liczbie konnych 6,720, parowych 1,175, na linach 765 i elektrycznych 10,050 kilometrów. Włochy posiadają około 3,000 kilometrów (przeszło 2,800 wiorst), miasta francuskie 1,795, angielskie liczyły w 1887 r. 11,418 kilometrów, wreszcie Niderlandy posiadają 710 kilometrów tramwajów, tj. najmniej w Europie zachodniej, więcej atoli, niż w Rosyi. Posiada ona dotychczas przeważnie tramwaje konne; parowe istnieją na krańcach Petersburga, Moskwy, Odesy i Warszawy. Po raz pierwszy motory elektryczne komunikacyi miejskiej weszły w Kijowie, a obecnie, dzięki wystawie, pozyskał je Niższy Nowogród. Oto są miasta, w których dziś istnieją tramwaje: Petersburg, Moskwa, Warszawa, Odesa, Kijów, Wilno, Mińsk, Kowno, Ryga, Tyflis, Baku, Woroneż, Kazań, Nachiczewań, Niższy Nowogród, Rostów nad Donem, Saratów, Tuła, Charków.

W dziale materyałów budowlanych można spostrzedz rozwój wyrobów sztucznych, ocenić, jak dalece w ciągu ostatnich lat kilkunastu udoskonaliły się cegły, kafle, ile powstało fabryk cementu, asfaltu, wreszcie do jakiego stopnia wzrosło użycie betonu. Pewne gatunki cegieł są dziś wyrabiane z zastosowaniem do wymagań estetyki budowniczej, tak samo kafle i majoliki. Te działy produkcyi rozwinięte są głównie w Sosnowicach i Finlandyi. Ogromny postęp daje się spostrzegać w wyrobie kamieni sztucznych i betonów, tudzież w utrwalaniu drzewa sposobami chemicznymi. Skutkiem tego rozszerzyły zakres pracy laboratorya chemiczne i mechaniczne i nabrały donioslego znaczenia. Pierwsze miejsce pod względem dokonywania prób mechanicznych zajmuje Instytut inżenierów komunikacyi, którego laboratoryum jest uposażone w bardzo bogate środki. Inne pracownie tego rodzaju istnieją przy instytutach technologicznych w Charkowie i Petersburgu, laboratoryum miejskie w Warszawie i stacya cementowa w Moskwie przy radzie Towarzystwa popierania przemysłu fabrycznego. Specyalne laboratorya mechaniczne istnieją przy fabrykach tudzież niektórych zarządach kolei żelaznych. Środki badań w tej mierze uzupełniają pracownie chemiczne o charakterze ogólnym lub naukowym, pod zarządem ministeryum skarbu przy instytutach: górniczym, komunikacyjnym, przy Towarzystwie technicznem w Petersburgu, przy wszystkich uniwersytetach, fabrykach wyrobów metalowych, cementowych itd. Wszystkie zdobycze i urządzenia w tej mierze umieszczono w osobnym pawilonie, niepojętym dla tych, którzy szukają rozrywki na wystawie. Uderza tam nadzwyczajne

bogactwo narzędzi i środków, służących do badań. Cały ten dział stworzono staraniem Towarzystwa technicznego.

Zen. Piet.

— *Warsz. Dniew.* donosi: Ministeryum skarbu, po porozumieniu się z ministeryum spraw wewnętrznych i kontrolą państwa, rozesłało do izb skarbowych następujące wyjaśnienie: „Biorąc pod uwagę, iż od dnia 1 stycznia r. b. do dnia koronacyi Ich Cesarskich Mości pojedyncze osoby mogły opłacić większe raty podatku gruntowego, aniżeli się od nich należą za r. b. wobec ulg, wypływających z Manifestu, p. minister skarbu polecił obecnie Izbom skarbowym zaliczyć pobraną nadwyżkę na rachunek przyszłych opłat, nie czekając na podania w tej kwestyi ze strony opłacających podatek."

— W Warszawie powstała fabryka kafli i drutów izolacyjnych do telefonów, oświetlenia elektrycznego itp., dotychczas istniała u nas tylko jedna taka fabryka w Łodzi i nie mogła wystarczyć obstalunkom, tak, iż owe druty musiano sprowadzać z za granicy. Nowa fabryka otrzymała już zamówienia na swój wyrób do Charkowa i Odesy.

W DALI.

Łódź. Szkoła rysunków i malarstwa pod kierunkiem profesora artysty-malarza W. Wołczaskiego, zawiadomiła zarząd stowarzyszenia subiektów handlowych, iż wszyscy członkowie, pragnący korzystać z wykładów, opłacać będą wpisowe o 25% mniejsze od ceny normalnej, wynoszącej 120 rs. rocznie (30 kwartalnie). Instytucya pracowników handlowych posiada własne wykłady stenografii, na które zapisało się dotąd 30 uczniów. — Powstaje w mieście biuro komisowo-handlowe i informacyjne pierwszorzędne, którego działalność rozpościera się na całe Państwo. — Miasto potwornie rosnące pod dewizą wszechwładnego „interesu" prawie wcale dotąd nie myślało o hygienie i bodaj pod względem zdrowotnym w dzielnicach ubogich należy do najgorszych miast w Królestwie. Charakterystyczną cechą Łodzi jest jeszcze to, że mało posiada ogrodów i skwerów. Z radością tedy mieszkańcy jej witają gorączkowe krzątanie się około urządzenia ogrodu miejskiego pomiędzy ulicami Mikołajewską a Widzewską. Kasa miejska na ten cel posiada obecnie rs. 14,708 kop. 50.

Kutno. Odbywają się obecnie przygotowawcze czynności około eksploatacyi odkrytych niedawno pokładów węgla w dobrach Krośniewice Konstantego hr. Rembielińskiego. Szyb doprowadzono już do głębokości 40 metrów. — Okoliczni właściciele ziemscy postanowili majątki swoje połączyć siecią telefonów z Kutnem, Krośniewicami i cukrownią Ostrowy. Zbiorowa praca około udoskonaleń technicznych i ekonomicznych jest cechą tych rolników. Założyli oni także sklep własny w Krośniewicach.

Kamieniec Podolski. W Płoskirowie rozpoczął obrady zjazd rolniczy, w którym wzięło udział sześćdziesięciu kilku ziemian podolskich. Między innemi postanowiono utworzyć osobne Towarzystwo rolnicze w Płoskirowie. Dla szerokich, żyznych obszarów tego kraju jest to instytucya niezbędna, tembardziej, że wielu właścicieli ziemskich nie wie, co się dzieje za ich własną miedzą; łatwo tedy szerzy tam swoją działalność wyzysk spekulantów. Interesy zaś ogólne, wymagające pracy lub zabiegów zbiorowych, nie mają gdzie się zogniskować. Stąd to znamienne zjawisko, że zrzeszone przedsięwzięcia lub wnioski, mające na celu ogólny rozwój ekonomiczny, nie wychodzą z terytoryów podolskich.

Kijów. *Kijowskie Słowo* donosi, iż członkami rady rolniczej na rok bieżący zostali: senator Kałaczew, członek rady ministra spraw wewnętrznych — Zwegincew, prezes Towarzystwa wolno-ekonomicznego hr. Hayden, gubernialny marszałek szlachty kijowskiej, ks. Repnin, prezes Towarzystwa rolniczego w Moskwie ks. Szczerbatow, zarządzający wydziałem rolnictwa i stadnin gabinetu Jego Cesarskiej Mości — Stewen, prezes Towarzystwa rolniczego Rosyi południowej — Suchomlinow, prezes Towarzystwa rolniczego w Kijowie — Kwitka, marszałek gubernialny szlachty symbirskiej — ks. Obolenski, prezes moskiewskiego urzędu ziemskiego — Szipow, wreszcie jako przedstawiciele ziemiaństwa: hr. Feliks Czacki i p. Szatiłow. — Na zasadzie okólnika ministra skarbu, jak zapewniają dzienniki kijowskie, w zbliżającym się nowym okresie cukrowniczym pozostanie nadal obowiązujące uprzednie opłacanie części akcyzy (75 kop.) od cukru wypuszczonego z fabryk. Udzielono niektórym fabrykantom pozwolenie na wypuszczenie produktu bez uprzedniej opłaty, obowiązuje tylko do końca bieżącego okresu fabrykacyjnego.

Petersburg. Znowu uwagę powszechną zaprzątnęła sprawa Olgi Palem, morderczyni studenta Downara. Odczytano szereg nowych zeznań, które stwierdzają, że Palem r. 1880 porzuciła religię żydowską i przyjęła prawosławie, poczem rodzina zerwała z nią wszelkie stosunki. Według zeznań jej ojca, w Odesie zeszła się ona „z dobrym człowiekiem starym, lecz bogatym" i że do niej chodził syn generalski (Downar). Usiłowała go zmusić do ożenienia się i dla poparcia swych roszczeń szukała poparcia osób wpływowych. W razie odmowy żądała wydalenia Downara z Instytutu inżenierów komunikacyi. Ostatecznie zawarto układ, na którego zasadzie Downar miał jej nie porzucać, lecz zarazem być wolnym od uprawnienia związku. Podsądną skazano na pozbawienie wszelkich praw, przysługujących jej osobiście i nabytych praw i przywilejów, tudzież na zamknięcie w więzieniu na rok i cztery miesiące. — Na najbliższym zjeździe kolejowym ma być poruszona sprawa zniesienia niektórych ulg, przysługujących pasażerom, między innemi bilety abonentowe, które ułatwiają podróżnym nadużycia. Z tego powodu *Now. Wr.* pisze: „Z ograniczeń tych niewiele będzie zysku, ponieważ niema takich przepisów, których nie można byłoby obejść. Przedewszystkiem obchodzą je sami pp. kolejowcy. Dlatego też wartoby pomyśleć raczej o zapewnieniu więcej udogodnień dla publiczności, aniżeli o nowych jej skrępowaniach." — Zarząd Banku państwa ogłasza: „W niektórych pismach ukazały się wiadomości, jakoby Bank państwa wstrzymał na czas nieograniczony wydawanie pożyczek na zastaw zboża. Pogłoski te pozbawione są podstawy. Jeszcze 2-go sierpnia r. b. p. minister skarbu zatwierdził nowe przepisy, dotyczące wydawania owych pożyczek, oddziały zaś otrzymały upoważnienie do udzielania tych zasiłków kredytowych na zasadach określonych przez te przepisy." — Egzaminy w Instytucie technologicznym ukończone. Na pierwszy kurs przyjęto 171 kandydatów. — Zarządzający ministeryum spraw wewnętrznych, Nekludow, nagle umarł. — W Astrachaniu otwarto przytułek dla trędowatych na 20 łóżek.

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. Postanowiono stworzyć kasę emerytalną państwową dla służby na parowcach, tratwach itd. (*Mosk. Wied.*).

— W Kobylepolu pod Poznaniem włościanie miejscowi i okoliczni urządzili teatr amatorski na cel dobroczynny. Odegrano sztukę ludową „Na wymia-nie".

— Z Hamburga telegrafują, iż w celu zapobieżenia grożącemu wybuchowi międzynarodowej zmowy majtków i robotników portowych, właściciele hamburskich firm okrętowych zawarli umowę z angielską „Shipping Federation."

Służba wojskowa. Ministeryum oświaty wniosło do Rady państwa nowy projekt, dotyczący pełnienia służby wojskowej przez młodzież, posiadającą świadectwa z ukończenia średnich zakładów naukowych i wstępującą do wyższych. Każdy, kto kończy kurs szkoły średniej, o ile doszedł pełnoletności (21 roku), obowiązany jest odbyć powinność wojskową, prolongata zaś w uniwersytecie lub innym wyższym zakładzie dawana jest do 25-go roku. Każdy wstępujący do wojska na prawach ochotnika (po ukończeniu szkoły średniej), korzysta z ulgi służby jednorocznej; jeżeli zaś wstępuje z losu, obowiązany będzie wysłużyć cały okres przepisany, który według żądania p. ministra wojny ma wynosić cztery lata. Z tego powodu *Rusk. Wied.* czynią następujące uwagi: „Statystyka wykazuje, że około 23% młodzieży kończy gimnazyum w 21 roku życia i nawet później. Do tego należy dodać pewien procent młodzieży, której rok 21 kończy się przed 13 październikiem. Wtedy otrzymamy około 30% kończących szkołę średnią, którym wypadnie pełnić służbę wojskową przed wstąpieniem do uniwersytetu, to jest w biegu wykształcenia szkolnego, a więc przerwa trwać będzie 1—4 lat. Jest to niedogodność widoczna i niewątpliwa, a zbyteczna dowodzić, że setki ludzi młodych nie dostaną się wcale do szkoły wyższej. Nadto znaczna liczba studentów nie będzie miała ani jednego roku zapasowego. Gdyby wypadło zostać na tym samym kursie z powodu choroby lub dla udoskonalenia się, wówczas grozi niebezpieczeństwo nieskończenia nauki. Dalej, według nowych przepisów o egzaminach przed komisyami, na zdanie go potrzeba nieraz całego roku, a tu wielu nie będzie miało tyle czasu. Wreszcie zdarza się, że wstępujący do uniwersytetu nie mogą sobie odrazu dobrać wydziału i przerzucają się na inny. Ta dziś przystępna dla każdego droga wyboru przez próbę stanie się niemożliwą, a już całkiem myśleć o tem niepodobna, ażeby przyrodnik stawał się lekarzem lub matematyk technikiem za pomocą dalszych studyów w specyalnych zakładach naukowych."

Szkoły. W składzie profesorskim uniwersytetu warszawskiego zaszły następujące zmiany: wykłady krystalografii dla studentów wydziału przyrodniczego fakultetu fizyczno-matematycznego prowadzić będzie p. Wulf, docent. Ordynatorami nadetatowymi klinik: oftalmologicznej i chirurgicznej szpitalnej mianowani: pierwszej lekarz Józef Marczewski, drugiej lekarz Aleksander Zawadzki; laborantem przy katedrze hygieny lekarz Dobrosławin. Laborant przy katedrze histologii i fizyologii, p. Orłow, opuszcza to stanowisko.

— Stała komisya do spraw wykształcenia fachowego opracowywa obecnie projekt szkoły dla uczniów ciesielskich, do której mają być przyjmowani kandydaci, liczący lat 12—14 i posiadający świadectwa z ukończenia szkół elementarnych.

Koleje i komunikacye. Stowarzyszenie akcyjne przedstawiło do zatwierdzenia projekt nowej kolei, linii uproszczonej, idącej z Kijowa przez Żytomierz, Owrucz, Kowel do Warszawy.

— Na kolei Kursko-Charkowsko-Sewastopolskiej wprowadzono tytułem próby numeracyę miejsc w pociągach osobowych.

Poczta. Uznano za rzecz konieczną wprowadzić szereg udogodnień pocztowych: obowiązkowe wysyłanie korespondencyi z ważniejszych miast przynajmniej dwa razy dziennie, dostarczanie do domu wszelkiej korespondencyi bez uprzedniego zawiadamiania awizacyami, wydawanie listów z oddziałów pocztowych na kolejach zaraz po przybyciu pociągu tudzież ustanowienie nowego rodzaju korespondencyi handlowej.

— Ostatecznie zatwierdzono projekt budowy nowego gmachu pocztowego w Warszawie kosztem 300,000 rs. Roboty mają się rozpocząć w przyszłym sezonie budowlanym (*Peterb. Wied.*).

Wystawy i zjazdy. W Inowrocławiu (Poznańskie), odbędzie się wystawa pszczelnictwa między 26 a 29 b. m., staraniem Towarzystwa pszczelniczego. Mogą brać udział wszyscy bartnicy nietylko z Niemiec lecz i zagranicy.

— Przewodniczący pruskich izb rolniczych zbiorą się w październiku na kongres w Hali. Obradować będą nad stanowiskiem izb wobec kwestyi giełdziarskiej.

— Kongres zwolenników sądów rozjemczych w sprawach międzynarodowych obradować będzie w Peszcie pomiędzy 23 a 26 b. m. Poprzednie kongresy tego rodzaju odbyły się w Paryżu, Londynie, Rzymie, Bernie, Hadze i Brukseli.

— Celem opracowania najlepszych warunków wykładu rzemiosł w szkołach elementarnych, postanowiono zwołać zjazd nauczycieli profesyonalnych.

— W Sztokholmie odbędzie się kongres międzynarodowy w sprawie różnych sposobów jazdy.

Zdrowie publiczne. Gazety donoszą, iż w okręgu zakaspijskim pojawiła się choroba podobna do dżumy.

Wypadki. Na kolei Jekaterynieńskiej nieznani złoczyńcy usiłowali rozbić pociąg osobowy, przepełniony pasażerami, za pomocą wyjęcia szyny. Uszkodzenie toru dość wcześnie spostrzeżono.

— Z Szafbuzy donoszą, iż w chwili gdy płynący z Konstancyi parowiec zatrzymał się na stacyi badeńskiej Büsigen, przystań nagle obsunęła się i 45 osób wpadło do wody. Dwie robotnice i dziecko utonęły, 15 osób zemdlonych wydobyto. Jest przypuszczenie, iż więcej osób utonęło.

Zmarli. Aleksander Roberts, w Schreiberhau na Szlązku; znany pisarz niemiecki.

Odpowiedzi Redakcyi.

Tłomaczowi. Poprzednia odpowiedź nasza wyrażała zasadę ogólną, więc i w tym wypadku pozwolenia nie potrzeba. Numery z r. 1894 wyczerpane.

Panu B. Z. My nie możemy uzupełniać przeoczeń prasy brukowej i wyręczać jej w doniesieniach, że orkiestra p. M. grała marsz Chopina, zwłaszcza że jest to fakt bardzo drobny.

A. Z. z T. „Młoda Skandynawia" Oli Hansona. Wypisywać katalogu dzieł tłomaczonych z beletrystyki skandynawskiej nie możemy.

Panu Jakóbowi R. Uwagi Pańskie byłyby najzupełniej słuszne i zamieścilibyśmy je chętnie, gdyby: 1) doniesienie o żądaniu od stróża kancyi 200-rublowej było faktem stwierdzonym i 2) gdyby ten fakt nie był wyjątkowym. Reporteryi naszej rzadko ufać można, a jej ścisłość prawie zawsze podejrzewać należy. Rozprawiać się zaś poważnie z fikcyą reporterską niepodobna.

— Komitet zarządzający Kasą pomocy dla osób pracujących na polu naukowem, imienia J. Mianowskiego, podaje do wiadomości, że z funduszu imienia Józefiny Sierakowskiej, znajdującego się w rozporządzeniu Komitetu, będą udzielone zapomogi bezzwrotne dla osób pracujących na polu naukowem, stosownie do woli ofiarodawczyni i jej spadkobierców.

Pierwszeństwo do otrzymania zapomogi będą mieli ci z kandydatów, którzy pochodzą z rodzin podupadłych lub zubożałych obywateli gubernii Płockiej, wyznania rzymsko-katolickiego. Zapomogi imienia Józefy Sierakowskiej mogą być przyznane bądź dla ułatwienia pracy na polu naukowem, bądź też na wydanie prac już przygotowanych do druku.

Za Prezesa Komitetu *prof. D. Baranowski.*
Członek Komitetu Sekretarz *St. Libicki.*

OGŁOSZENIA.

Redaktor i wydawca dr. fil. Al. Świętochowski.

Дозволено Цензурою. Варшава 6 Сентября 1896 г.

Druk K. Kowalewskiego. Warszawa ul. Mazowiecka, Nr. 8.